№ 30. Warszawa, dnia 27 (15) Lipca 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Potok błota. — Tydzień polityczny. — Mój syn przez dr. J. Tarczana. Tłom. Meg. — *Życie społeczne*: Zamierzony drugi krok naprzód p. Zyg. Atanazego. — Rozmyślania nad szkołą. — *Sprawy ekonomiczne*: Pomoc dla ziemian. — Udoskonalenia zbytu zbożowego. Zwyżka cen cukru p. P. — *Badania naukowe*: Prace w zakresie religii porównawczej II. p. Lud. Krz. — Kilka uwag o samobójstwie pod względem psychologicznym IV. p. Władysława Kozłowskiego. — Kartki naukowo-artystyczne. — Wynalazki p. W. N. — *Literatura i sztuka*: Z Niemiec p. Ladawę. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Prasa ruska. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenie.

Zwracamy uwagę, że Redakcya PRAWDY mieści się obecnie przy ulicy Marszałkowskiej (róg Żórawiej) pod nr. 95.

POLITYKA.

POTOK BŁOTA.

Bulanżyzm jest wielogłową hydrą oszczerstw, można więc sobie wystawić ruch jego języków, gdy go nazwano wieloręcznym złodziejem. Prokurator Francyi ukończył już i ogłosił swój akt oskarżenia przeciwko Boulangerowi i dwu jego spólnikom — Dillonowi i Rochefortowi. Jest to długa litania grzechów, z której wyjmujemy najgłówniejsze.

Boulanger wcześnie, bo jeszcze w r. 1882 zaczął snuć swoje plany polityczne. Gdy przebywał w Tunisie, rolę głównej jego agentki objęła dawna jego utrzymanka, która świeżo odsiedziała karę sześciomiesięcznego więzienia, w Paryżu zaś spełniał tę czynność trzykrotnie karany dziennikarz. Ponieważ pieniędzy brakło, więc chwycono się łapówek od dostawców kawy i epoletów dla wojska. Po przybyciu do Paryża, a zwłaszcza po otrzymaniu teki ministra wojny, rozpoczął Boulanger gorączkową pracę nad rozwinięciem swego kultu. Rozpowszechniał swoje portrety w najrozmaitszych odmianach i opłacał dzienniki dla reklamy. W ciągu 7 miesięcy dał im 242,693 fr. Nie mając środków własnych, czerpał z publicznych olbrzymie sumy. Z funduszu rezerwowego ministeryum wojny pod formą pożyczki wziął 279,000 fr. Klubowi *Cercle militaire*, który był ogniskiem jego propagandy ofiarował 140,000 fr. Jeszcze w przeddzień ustąpienia wziął z kasy ministeryum 30,000. Pieniądze te obracał bądź na agitacye, bądź na pokrycie wydatków i długów osobistych (za samo wytapetowanie dwu mieszkań zapłacił 12,000 fr.). Pozbawiony teki ministeryalnej tem energiczniej posuwa się w spisku: nie chce jechać na prowincyę dla objęcia dowództwa korpusu, łączy się z Dillonem i Rochefortem, któremu daje 10,000 fr. jako zapomogę dla dziennika. Tymczasem wrzenie w stolicy wzrasta: podniecone tłumy przy lada sposobności gromadzą się i okrzykują imię dyktatora. Zbiegowiska te dochodzą do kilkudziesięciu tysięcy osób, a Boulanger wypierając się jawnie uczestnictwa w podżeganiu ich, tajemnie pracuje bez ustanku nad wyzyskaniem namiętności ludu na swą korzyść. Przekupuje przytem urzędników, oficerów, policyantów itd. Nareszcie 1887 roku dojrzał plan sprzysiężenia. Podobno w porozumieniu się z ks. W. Napoleonem miano porwać prezydenta Rzeczypospolitej, opanować Izby i władze naczelne, ogłaszając natychmiast rządy Boulangera i jego spólników. Zamach ten wszakże nie udał się, chociaż nie odsłonił się całkowicie. Odtąd bulanżyści prowadzą walkę szeregiem drobnych starć i awantur, w których wreszcie zarysowali się wyraźnie jako spiskowcy, a wreszcie zmuszeni są uciekać przed odpowiedzialnością.

Jest to naturalnie tylko bardzo ogólnikowy szkic obszernego aktu oskarżenia. Wszystkie jego szczegóły zbiegają się w dwu punktach głównych: w obwinieniu o zamach stanu i o nadużycie lub kradzież funduszów publicznych. Pierwszą stronę procesu rozpoznawać będzie osobny sąd z łona Senatu, drugą — sąd zwykły. Łatwem było do przewidzenia, że bulanżystów dotkną tylko zarzuty kategoryi ostatniej, dotyczące kradzieży i przeniewierstwa. Zamachu stanu wcale nie wypierają się, ale przeciwko przylepieniu im hańby złodziejstwa bronić się muszą. To też, odpowiadając na oskarżenie manifestem do „drogich ziomków," usiłują błotem, w którem ich pogrążono, umazać swych przeciwników. „Ogół — powiadają oni — ze wstrętem odwraca się od tych złoczyńców, których sprawiedliwość narodu wkrótce dosięgnie a kodeks kryminalny ukarze. Ci fałszerze nic przeciwko nam nie znaleźli, bo gdyby mieli najmniejszy dowód, nie ryzykowaliby się na ciężkie roboty (!) za konszachty z ludźmi osadzonymi w więzieniu." Boulanger tedy, Rocheford i Dillon mają już nie nadzieję, ale pewność, że obecny rząd Francyi skażą wkrótce na ciężkie roboty. Tego rodzaju blaga zawsze w Paryżu poplaca.

Ale tym opryszkom trzeba przyznać, że uderzają oni w słaby punkt aktu oskarżenia — w brak dowodów. Cały wywód prokuratora jest gołosłownym, niepopartym świadectwami. Być może, iż p. Quesnay de Beaurepaire zachował sobie okazanie materyału dowodowego w sali sądowej, tymczasem jednak wrażenie jego oskarżeń nie

miało dostatecznej siły. Rzucono przytem z wielu stron pytanie: czy rząd francuski rozdymaniem procesu nie powiększa sam znaczenia spiskującej szajki i czy nie postąpiłby roztropniej, postawiwszy Boulangera tylko przed zwykłym sądem za przeniewierstwo i kradzież? Jest to i nasz pogląd. Niejednokrotnie zaznaczyliśmy, że rząd i jego organy, nadając wielką wagę wszystkim przejawom bulanżyzmu, pomagają mu do rozrostu. Dość przypomnieć tylko ostatnią uchwałę Izby, zabraniającą stawiać kandydatur w kilku naraz okręgach. Czy nie właściwszym a równie skutecznym był środek, którego użyto teraz, gdy Boulanger wystąpił jako kandydat w 80 radach generalnych? Zagrodzono mu drogę poprostu na mocy utraty praw, jako zbiegłemu i zagrożonemu karą główną. Z tej samej zasady nie mógł on starać się o mandat poselski.

We Francyi zwichrzonej, zdemoralizowanej, słyszącej codzień, że najwyżsi dostojnicy państwa są złodziejami, oszustami i mordercami, we Francyi, której to już nie razi, że jej „protektor" i „dyktator" rozrzuca na swą propagandę miliony, a ich źródła nie chce wskazać, w kraju znieczulonym moralnie trudno przepowiedzieć, jak się zakończy sprawa bulanżyzmu. Wszystko tu jest możliwem, począwszy od ostatecznego zmiażdżenia bandy warchołów aż do ich panowania. Widzimy tylko, że szerokiem łożyskiem płynie najpotworniejsze błoto, ale dokąd ono naród zatoczy — nikt nie odgadnie.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jakie strzały wymieniają między sobą zapaśnicy w olbrzymim skandalu francuskim, można nabrać wyobrażenia z małej próbki języka, którym przemawia Rochefort. Utrzymuje on w *Intrasigeant*, że posiada depeszę od niedawno zmarłego generał-gubernatora Indo-Chin, Richbauda, w której ten oskarża swego poprzednika, obecnie ministra spraw wewnętrznych, Constansa, o kradzież kosztownego pasa króla Kambodży Norodoma, o przekupstwo, o protegowanie bezecnych domów gry, wreszcie o otrucie Richbauda. Tak się dziś polemizuje we Francyi. Że jednak dochowała się ona gromady łotrów, to przyznać trzeba.

Wątpić można, czy ona z takim rakiem we wnętrzu ma zachcenia wojenne, o które ją posądzają Niemcy, same nieustannie zajęte lisimi podkopami. Rozeszła się pogłoska, że do przymierza potrójnego wciągnęły Turcyą. Wieść tę wszakże szybko zwrócono korespondentowi *Timesa*, który ją w świat puścił. Jedyną od lat wielu polityką Turcyi jest siedzenie cicho, przytulanie uszu, unikanie starć i związków, kogokolwiek drażniących. Posłała ona na zbuntowaną Kretę kilka batalionów wojsk, ale niech któreś mocarstwo palcem jej pogrozi, natychmiast wycofa się z awantury i zda się na wyrok losu. Pomijając inne przyczyny, minęły już dawno czasy, kiedy sułtan mógł być mężem kilkuset żon i energicznym władcą państwa.

Ale chociaż przystąpienie czwartego uczestnika do spółki sojuszowej nie znalazło wiary, strachy wojenne nie przestają się ukazywać w łamach prasy. Z Wiednia przeniosły się teraz do Rzymu. Dziennik tamtejszy *Secolo* pisze: „Przygotowania wojenne prowadzone są z gorączkowym pośpiechem, a na ostatniej radzie ministrów Crispi czynił ostre wymówki ministrowi wojny za opieszałość. Polecił mu stanowczo porobić zapasy nowego prochu niedymiącego, zastąpić stare karabiny nowymi lub też — usunąć się z urzędu. Dopiero wysoko postawiona osoba zapobiegła dymisyi ministra wojny. Wiadomo nam z najlepszego źródła, że wysłany został do Rzymu jakiś generał niemiecki z tajnemi zleceniami wielkiej wagi. Rząd nalega na towarzystwa kolejowe o budowanie nowych torów. W arsenałach nie dają urlopów i pomnażają liczbę robotników." Dużo w tem grozy, ale ile prawdy?

Szef sztabu głównego w Niemczech, hr. Waldersee, posądzony o przedstawienie cesarzowi memoryału, wykazującego konieczność natychmiastowej wojny, nadesłał jednemu z dzienników stanowcze zaprzeczenie tej wieści. *Nordd. Allg. Ztng*, która niedawno przypomnieniem wywodów Clausewitza, odbierających naczelnemu wodzowi prawo mieszania się do polityki i decydowania o wojnie, pośrednio dała podstawę tej wieści, teraz stara się ją podtrzymać, nie wspominając wcale o zaprzeczeniu hr. Waldersee. Z tego wypływa jasny wniosek, że mimo wszelkiej łataniny dobrych pozorów, ks. Bismark podlega „frykcyom," a około cesarza wzmaga się prąd przeciwny kanclerzowi i popychający monarchę do czynów energiczniejszych, niż przymierze. Według żywiołów młodszych jest to dzierganie ciągle prującej się pończochy, właściwe dla zestarzałego Bismarka, ale niezadawalające rzeźkiego hr. Waldersee.

Niedługo Cesarzowie Niemiec i Austryi mają się powitać w Berlinie; odwiedziny te leżą w naturze rzeczy, jako odpowiedź na wizytę Wilhelma II w Wiedniu, a jednakże i do nich przyczepiają się domysły niepokojące.

Cesarz Franciszek Józef miał bardzo ostro wyrazić się o zwycięztwie młodo-czechów przy wyborach. Z tego powodu wysłali oni deputacyę do namiestnika z zapytaniem, czy to jest prawdą. Namiestnik odpowiedział tylko, że go postawili w drażliwem położeniu, co znaczy, że reszty powinni się domyśleć.

Ponieważ trybunał odmówił żądaniu Parnella, ażeby strona przeciwna złożyła księgi handlowe, w których ma być ślad opłacania fałszywych przeciw niemu świadków, więc przywódca irlandzki cofnął pełnomocnictwo swemu adwokatowi do dalszego stawania, a tem samem wyraził nieufność do bezstronności sądu. Krok ten, nieco spóźniony (należało go może uczynić po samobójstwie Pigotta), nie znajduje uznania, a w każdym razie ułatwia *Timesowi* wydobycie się z potrzasku.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZAMIERZONY DRUGI KROK NAPRZÓD.

W liczbie zagadnień, podlegających rozpatrzeniu obecnej sesyi Rady państwa, znaj-

---

MÓJ SYN

przez

dr. J. Tarczana.

Stary Antoni Kimovec spędził całe życie w największej nędzy. Po ojcu odziedziczył pół zapadłą chałupę i nieurodzajne pole, wysoko w górach. Musiał więc zawsze w pocie czoła, krwawo pracować na kawałek chleba. A gdy się ożenił, dał mu Bóg taką żonę, że mnie jeszcze teraz strach bierze, gdy o niej pomyślę. Nietylko że mu nic nie pomagała przy robocie, ale jeszcze kradła, co tylko mogła, sprzedawała i przepijała. Kiedy Antoni wieczorem wracał z roboty, znajdował nieraz swoją połowicę spitą i śpiącą na środku gościńca, otoczoną tłumem krzyczących i naigrawających się z niej dzieciaków. Cierpliwie brał ją wtenczas na ramiona, zanosił do chałupy i przebaczał jej — bo obdarzyła go przecież synem. A kiedy umarła i pochowaliśmy ją na wieczny spoczynek, na górze św. Wawrzyńca *), stał Antoni Kimovec z zakrwawionem sercem nad grobem, a gorące łzy spływały po jego twarzy. „Ludzie — mówił—jaka jej szkoda, że tak wcześnie umarła! Z czasem przyzwyczaja się człowiek do wszystkiego. Gdym dobrze pozamykał wszystkie skrzynie i szuflady, to mi już niczego nie mogła wziąć. Szkoda jej!"

Po jej śmierci pozostał mu tylko jeden syn, którego kochał nad życie. Gdy raz na twardem łożu rozmyślał o swoim losie, zabolała go i przestraszyła ta nędza i bieda, jaką całe życie cierpiał. Wtenczas postanowił syna posłać do szkół, żeby nie potrzebował na plecach nosić mierzwy na kamieniste, nieurodzajne pole w górze, a przytem wciąż głód cierpieć. Rzeczywiście zawiózł go wkrótce do Lublany. Tam poszedł do O. Kalistra, wówczas ekonoma u Franciszkanów, pocałował go w rękę i wyprosił u niego dla syna skromny, ale bezpłatny objad, który chłopiec otrzymywać miał codziennie w klasztorze. Odtąd przychodził Antoni do Lublany, kiedy tylko mógł, żeby zobaczyć swego syna. Na drogę brał tylko kawałek razowego chleba, a pragnienie gasił wodą ze źródeł przydrożnych. W lecie, podczas gorących upałów, zadyszany i zasapany nosił nieraz do miasta na plecach koszyk z żywnością dla syna. Dla siebie jednak nigdy nie wydawał pieniędzy. Czasem tylko zapraszali go uprzejmi furmani, żeby się do nich przysiadł i na ich wozie złożył swój koszyk. Wtenczas opowiadał im z zapałem, że idzie do miasta zobaczyć, co się dzieje z jego synem, że to chłopak, jak lepszego trudno sobie życzyć, że OO. Franciszkanie bardzo są z niego zadowoleni i że wciąż mu sprawia uciechę i radość. I rzeczywiście chłopak uczył się bardzo pilnie. Corocznie był „pierwszym" w klasie i przynosił „premie" do domu. Wtedy szedł ojciec z synem do kościoła. Na twarzy starego świeciło takie szczęście, że mu go zazdrościli wszyscy, którzy mieli swawolne i leniwe dzieci. Kiedy chłopiec zdał egzamin dojrzałości, musiał stary Kimovec sprzedać swój grunt i rolę a kiedy ukończył wszechnicę dostała się i chałupa w obce ręce. Odtąd był stary już tylko komornikiem i utrzymywał się z pracy rąk. Ale nikt by nie odgadł, do czego on był zdolnym. W zimie plótł koszyki, opowiadał dzieciom po wieczerzy za kawałek chleba różne baśnie i podania i uczył służbę różnych zbawiennych modlitw. Prócz tego robił fajki i piszczałki z gałęzi bzu i łyżki z drzewa lipowego. Pomimo to zdarzało się jednak, że czasem przez cały dzień nie miał nic ciepłego w ustach. Z nadejściem wiosny kosił i kopał za psie pieniądze. W lecie zbierał borówki, ostrężyny, naprawiał strzechy, drutował garnki, handlował po domach solą, a sam żył prawie tylko chlebem i kwaśnem mlekiem. W jesieni zbierał maliny, jarzębinę i jagody jałowca, skrobał żywicę po świerkach i zbierał żołędzie po dąbrowach i bukowinach. W taki sposób uciułał sobie trochę pieniędzy, które zawsze posyłał synowi. Sam zaś żył wciąż w największej nędzy. Bosy, obdarty, garbiony, z zapadłymi oczami, budził w każdym litość, kto go tylko ujrzał. I rzeczywiście nam wszystkim było go żal. Tak upływał rok za rokiem, a stary Kimovec z każdym rokiem coraz więcej ubożał. Syn jego stał

*) W wielu wsiach słoweńskich znajduje się kościół i cmentarz na szczycie jakiej niższej góry. Wiele zaś gór jest do 2,000 stóp zasiane zbożem.

duje się wypracowany przez ministra skarbu projekt nowych przepisów odpowiedzialności przedsiębiorców za śmierć i okaleczenia robotników. Ze względu na wielką i niezaprzeczoną doniosłość wszelkich kroków prawodawczych rządu w tej dziedzinie, przytoczymy zasadniczo punkty owych przepisów projektowanych:

„Właściciele fabryk, rękodzielni, kopalń wszelkiego rodzaju oraz innych zakładów przemysłowych (bądź to skarbowych, akcyjnych, bądź też prywatnych) jakoteż przedsiębiorcy robót budowlanych, w razie śmierci, pokaleczenia i uszkodzeń w zdrowiu, zrządzonych najmicie podczas produkcyi: obowiązani są wynagrodzić robotnika lub jego rodzinę, jeżeli wypadek nieszczęsny nastąpił: *a*) skutkiem dopuszczenia robót przy warunkach wzbronionych przepisami i szczególnemi dla każdego wytwarzania postanowieniami; *b*) skutkiem nadwerężenia maszyn, wszelkiego rodzaju przyrządów, kotłów parowych, tudzież innych przyborów, które, przy zwykłym dozorze, uznawane są za niezdatne do robót; *c*) skutkiem nieprzedsięwzięcia zwykłych lub używanych w sąsiednich fabrykach środków ochrony ruchomych części mechanizmów, otwartych kotłów, kadzi i innych urządzeń fabrycznych, grożących niebezpieczeństwem robotnikom przy zajęciu, jakoteż skutkiem pominięcia zwykłych lub stosowanych już w innych okolicznych albo położonych w tej samej gubernii fabrykach — środków usuwania szkodliwych oddziaływań na organizm ciał chemicznych i zapobiegania chorobom w gałęziach przemysłu, połączonych ze szczególnemi niebezpieczeństwami produkcyi; *d*) z przyczyny niedbalstwa lub niedostatecznego doświadczenia kogokolwiek z oficyalistów, na których spoczywa dozór nad robotami i działaniem maszyn lub też skutkiem wydania przez nich lub gospodarza przedsiębiorstwa takiego rodzaju rozkazów, których wykonanie kojarzyłoby się z oczywistem niebezpieczeństwem.“

Tak wygląda zakres odpowiedzialności przedsiębiorców wobec wypadków śmierci i kalectw robotników, ale zakres wedle drugiej redakcyi projektu. Jak łatwo dojrzeć z niedokładności oznaczenia granic odpowiedzialności (szczególnie w drugim i trzecim puukcie, *b* i *c*, a po części i w pierwszym — *a*), duch przedstawicieli kapitału zdążył już na zarodku przyszłego prawa odcisnąć swoją pieczęć. Oto jak siłę tego „ducha,“ działającą zwykle na akty prawodawcze w kierunku linii krzywej, odsłaniają *Ruskija Wiedomosti*. Tuż po wydaniu prawa fabrycznego z dnia 2 czerwca 1886 r. ministeryum skarbu przystąpiło do opracowania podstaw nowego prawa i odpowiedzialności przedsiębiorców, następnie zaś, po otrzymaniu wniosków od wydziałów miejscowych, przez Radę handlowo-przemysłową był ułożony szczegółowy projekt odnośnych przepisów. Ale w tym czasie w pewnych sferach ujawniły się znaczne zmiany w poglądach na zadania prawodawstwa fabrycznego, uwidoczniły się „inne powiewy,“ skłonne ograniczać raczej te zadania, niżeli rozwijać. Zmiana ta w poglądach wybitne odcisnęła piętno na pierwotnym projekcie. Miał on tę wyższość nad wniesionym do Rady państwa, że warunki, w których zaczyna się i kończy odpowiedzialność pracodawcy za okaleczenia i śmierć, określał jaśniej i dokładniej. Według niego obowiązek wynagrodzenia robotników spadał na przedsiębiorcę we wszystkich tych wypadkach, kiedy nieszczęście nastąpiło: „Skutkiem jakiegokolwiek nadwerężenia użytych w produkcyi mechanizmów, skutkiem nienależytej ich ochrony w czasie roboty, szkodliwego działania związków chemicznych i nieprzedsięwzięcia środków celem zapobieżenia chorobom w gałęziach przemysłu, połączonych ze szczególnemi niebezpieczeństwami dla zdrowia.“ Wolnymi zaś mogli być pracodawcy od odpowiedzialności, jeżeli wypadek zachodził nie z ich lub oficyalistów przyczyny albo też gdy niezbędne środki ostrożności były przedsięwzięte i nakoniec gdy działała siła niepokonana.

Widzieliśmy wyżej, czem cały projekt stał się po wyjściu z powtórnej redakcyi. Z obawy „zostawienia szerokiego pola tłomaczeń karygodności przedsiębiorców“ i w celu „zabezpieczenia ich od nadmiernych i bezzasadnych uroszczeń robotników,“ zwrócono się do określeń ogólnikowych — jak słusznie zaznaczają *Ruskija Wied.* — w rodzaju „zwykły dozór,“ „używane w sąsiednich fabrykach“ środki ostrożności itp. Wiadomo przecież, jaką one rzeczywistość zwykły współoznaczać. Najczęściej owe „zwyczajne środki,“ przełożone na język codzienny, równają się zupełnemu ich brakowi... Nic też łatwiejszego nie będzie dla przedsiębiorców w takich warunkach, jak bezkarne zsuwanie z pleców wszelkiej odpowiedzialności wobec ofiar „nieszczęsnych wypadków.“ Nadto, zatwierdzenie projektu pod tą postacią w ręku pewnej grupy fabrykantów może się stać nowym hamulcem w sprawie zaprowadzenia niezbędnych przyborów do ochrony życia i zdrowia robotników. Trudno nie przyznać słuszności wzmiankowanemu dziennikowi: zbyt dobrze znane nam są dążności kapitału, żebyśmy obaw powyżej wyrażonych mogli nie podzielać.

Jako dodatnią stronę projektu prawnego wypada podnieść fakt, że w liczbie powodów dających podstawę dla akcyi sądowej o wynagrodzenie znajdują się nietylko tak zwane „uszkodzenia traumatyczne“ (okaleczenia), lecz także i ujma zrządzana zdrowiu robotnika przez same właściwości produkcyi, np. związki chemiczne w niej używane i wywołujące chorobę. Znać w tem wyraźną dążność prawodawcy do wywarcia nacisku na przedsiębiorcę w kierunku dbałości o warunki zdrowotne siły roboczej. W tę stronę jaknajwięcej bodźców!..

W dalszym ciągu projekt zajmuje się określeniem skali odszkodowań i pensyi, przypadających robotnikowi i jego rodzinie. Tak jedne jak druga określane będą w stosunku procentowym do zarobku rocznego. Wdowie pensya dożywotnia oznaczoną będzie do wysokości 30% utrzymania zmarłego; dzieciom małoletnim obojga płci do 15% każdemu w razie pozostawania przy życiu jednego z rodziców, zupełnym zaś sierotom — 20%; rodzicom poszkodowanego do 15% każdemu. Wszystkie te pensye, razem wzięte, nie mają przecież przenosić 60% ostatniego zarobku rocznego. Obowiązek odszkodowania wkłada się nie na osobę właściciela, lecz na samo przedsiębiorstwo, jak tego wymaga potrzeba rękojmi dla robotnika, który tym sposobem, w razie przejścia fabryki w inne ręce, nie będzie narażonym na niewypłatę naznaczonej pensyi. W wypadku niewypłacalności przedsiębiorstwa pensye przyłączają się do długów pierwszego rzędu. Same zaś pensye aresztowi nie podlegają. Wszelkie wstępne ugody, dążące do ograniczenia prawa naj-

---

się tymczasem wielkim panem gdzieś między niemcami*) i zarabiał tyle pieniędzy, ile tylko chciał. Przynajmniej tak opowiadali o nim powszechnie ludzie, którzy go widywali. Ale o swoim starym ojcu zapomniał zupełnie. Dzieci pamiętają o rodzicach tylko dopóty, póki potrzebują od nich pieniędzy. A kiedy wyrosną idą w świat, jak ptaki odlatują i tak jak one zapominają o swem gniazdku rodzicielskiem. We wsi ludzie dziwili się temu i mówili jednogłośnie, że syn, który takiemu ojcu pozwala głód cierpieć i nędzę znosić, jest nikczemny. Jeżeli się jednak ktoś z czemś podobnem odezwał przed starym Antonim, poczerwieniał cały od gniewu i z największem oburzeniem bronił syna:

— Co mój chłopak ma być niewdzięcznym! mój syn! Antoś! Jak można coś podobnego myśleć! Zobaczycie, jak on mnie będzie wspierał, kiedy będę starym. Teraz jeszcze nie może. Żebyście tylko wszyscy mieli takie dzieci!

Jednego dnia zjawił się syn Kimovca rzeczywiście w naszej wsi. Przybył jednak tak niespodzianie i prawie po kryjomu, że go z początku nikt nie poznał. Nabył tuszy a długa broda sięgała mu aż po piersi. Wzrok jego miał w sobie jednak coś tak ostrego i niemiłego, że przypominał jeża. Nic dziwnego, że się powszechnie wydawał bardzo brzydkim. Przybywszy w eleganckiej karecie, zajechał do wójta i cały dzień pił tam z nauczycielem i z innymi panami. W domu tymczasem czekał nań niecierpliwie stary ojciec, dostawszy prawie gorączki z uciechy, że syn jego wreszcie przybył.

— No, patrzcie teraz mój syn przecie przyjechał, mój poczciwy Antek. Żebyście tylko wy wszyscy mieli takie dzieci!

Przez całe przedpołudnie jednak młody doktór nie miał czasu, przypomnieć sobie, że stary ojciec jego oczekuje go niemal w dreszczach gorączki. Dopiero wieczorem, kiedy się już ściemniło, przyszedł do niego bocznymi drogami i zapukał do drzwi:

— Ojcze, śpicie już? — zawołał szorstko.

— Jakbym ja mógł spać, kiedyś ty tu przyjechał, kochany Tonczku! Jak możesz się pytać.

Na drugi dzień stali ludzie przed domem wójta i przypatrywali się ze zdziwieniem, jak młody dr. Antoni Kimovec odjeżdżał. Obok karety stał jego stary ojciec w świątecznym ubraniu z kapeluszem w ręku. Ale pan doktór ledwie nań spojrzał, skoczył szybko do kolasy i zawołał z poważną miną:

— Ojcze u wójta zostawiłem dla was trochę pieniędzy!

Potem odjechał szybko. Z zaczerwienionymi oczami starzec patrzył na karetę, aż znikła za górami.

— Może go już nigdy więcej nie obaczę!— zawołał ze łzami.

Powoli poszedł do wójta, który mu wręczył 30 srebrnych cwancygierów*). Te pokazywał wszystkim ludziom w całej wsi, wychwalając przytem dobroć Tonczka: „Widzicie, jak on mnie wspiera na moje stare lata. To dopiero prawdziwy syn! To wdzięczny chłopak, a wy mówiliście, że on o mnie zapomniał! Mój Tonczek mógłby o mnie zapomnieć!“

Ale wszyscy inaczej sądzili o młodym doktorze, chociaż nie mówili o tem przed starcem. Sam wójt, wręczając mu trzydzieści cwancygierów, nie wspomniał mu, że syn polecił staremu dawać co miesiąc po jednym cwancygierze. A przecież studya młodego doktora zjadły grunt i chałupę starego Kimovca. A teraz odpłacał ojcu cwancygierami za te troskliwą, ale nierozważną miłość rodzicielską. Odtąd wydawał on się całej wsi jeszcze bardziej brzydkim i ohydnym. Staremu ojcu nikt nie śmiał powiedzieć prawdy, żeby mu nie zamącić jego uciechy. Przecież postępowanie syna musiało mu z biegiem czasu samo oczy otworzyć. Stało się to niestety niezadługo, jeszcze tego samego roku, w którym dostał jako pierwsze wsparcie od syna tych kilka nędznych cwancygierów. W jesieni bowiem stary Kimovec coraz bardziej zapadał na zdrowiu i zaczął tak szybko się starzeć, jak liście usychające w jesieni. Chociaż już i tak był stary, zestarzał się i zsechł okropnie w ciągu kilku dni. Z pierwszym śniegiem musiał się do łóżka położyć. Zaraz wszyscy wiedzieliśmy, że już wiosny nie dożyje. Leżał prawie na samych deskach, a tak brak mu było wszystkiego, że sąsiadów litość brała. Stary człowiek, chory i biedny, ska-

*) W Gradcu lub Wiedniu, dokąd się udają słoweńscy studenci na uniwersytet i gdzie wielu z nich zostaje po ukończeniu studyów.

*) Stara moneta austryacka = 35 centów.

mitów do otrzymania pensyi, uważane będą za nieistniejące.

Takie w głównych zarysach ma być prawo o odpowiedzialności przedsiębiorców wobec okaleczeń i śmierci robotników. Leży ono w porządku rzeczy. Winno ono być radośnie powitane, jako niezbędne, nieodłączne od kapitalistycznych zwrotów rozwojowych życia ekonomicznego. Po prawie fabrycznem o maloletnich robotnikach, które było pierwszym krokiem na drodze oddziaływań reglamentacyjnych postawionym przez państwo, będzie to drugi krok naprzód...

Zyg. Atanazy.

ROZMYŚLANIA NAD SZKOŁĄ.

Jednym z najgorliwiej obrabianych obecnie przez prasę ruską tematów jest sprawa przeciążenia uczniów pracą w gimnazyach. W chórze rozmaitych głosów wiele odezwało się za ograniczeniem wykładu języków klasycznych a rozszerzeniem nauk przyrodniczych. Podobno ten prąd przeniknął również do sfer zwierzchniczych, które zamierzają zmniejszyć ćwiczenia piśmienne (extemporalia), usunąć niektórych autorów greckich i łacińskich, zredukować liczbę poświęconych im godzin itp. Są to wszakże dotąd pogłoski nieujęte w formę wiadomości pewnej; pozostają nam więc do roztrząsania poglądy dziennikarskie.

Sprawą przeciążenia uczniów zajął się również *Warszawskij Dniewnik*. „Każdy kandydat — powiada on — przed wstąpieniem do gimnazyum przepędza lato w wytężonem kuciu (lub przygotowywaniu się). Chociażby zakład naukowy wymagał od niego jak najmniej przy wejściu do pierwszej klasy gimnazyum lub szkoły realnej, pomimo to malec z niepokojem oczekuje egzaminu, rodzice przy pomocy przypadkowych nauczycieli, zwykle gimnazistów klas wyższych, przygotowują go pośpiesznie. Straszą go rodzice, sami zastraszeni przez nauczyciela i tę okoliczność, że dzieciak często powinien, skutkiem wielkiej liczby współzawodników, zdać egzamin bardzo dobrze dla dostania się do szkoły; straszy go wreszcie sam nauczyciel, ażeby nadać swej pracy nad nim „powagi." A pracę tę rodzice nie zawsze cenią tak nizko, jak się zdaje; oprócz umówionej płacy miesięcznej, obiecują prawie zawsze nauczycielowi osobne wynagrodzenie po przyjęciu ich syna do szkoły. I o to po zastosowaniu tych wszystkich sposobów forsownego przygotowywania w ciągu $1\frac{1}{2}$ lub 2 miesięcy przed egzaminem, po tym tresunku, w którym głównie wyuczają go odpowiedzi mechanicznych według metody używanej przez tego lub innego nauczyciela a dobrze znanej przygotowującemu gimnaziście, przychodzi na egzamin nie chłopiec, który odpoczął podczas lata, lecz istota fizycznie i moralnie zmęczona i znużona, zgłuchą obawą, z zarodem nienawiści do szkoły i jej nauczycieli. Wiele też dzieci rozpoczyna egzamin łzami strachu i rozpaczy, które przelewają, zanim egzaminujący spojrzy na malca."

Warsz. Dniewnik główną winę składa za to na rodziców. Nie sądzimy, ażeby ten pogląd był słusznym. Jeżeli bowiem egzaminy odbywały się po skończeniu lata i prawie zawsze — skutkiem natłoku kandydatów — są konkursowe, cóż rodzice mieli począć, ażeby przygotować do nich chłopca? Pozostawić go przez czas letni bez zajęcia? Sposób bardzo ryzykowny, tem bardziej, że miara wymagań szkolnych nie jest stałą, lecz podnosi się stosunkowo do liczby kandydatów. Jeżeli na trzy wolne miejsca będzie ich trzech, egzamin będzie ściśle zastosowany do programu klasu; ale jeżeli o trzy miejsca będzie się ubiegało 30 lub 100, nauczyciele zwiększą skalę wymagań. Nic zaś dziwnego, że każdy pragnie dosięgnąć najwyższej i męczy swe dziecko nauką. Zresztą sam *Dniewnik* uznaje pośrednio tę konieczność, uważając za zbawcze rozporządzenie ministra oświaty, nakazujące, ażeby kandydaci do klasy I odbywali egzaminy łącznie z uczniami wstępnej przy końcu roku szkolnego, przed feryami.

Ale czy przeciążenie uczniów trwa tylko podczas ich przygotowywania się do szkoły? W takim razie powinnoby ono w niej później znikać. Tymczasem widzimy fakt całkiem przeciwny. Jedna z gazet ruskich główny wpływ pod tym względem przypisuje przewadze języków. Istotnie, dziecko od klasy drugiej uczy się jednocześnie 6 do 7 języków, z których dwa są martwe. Nawet dla umysłu dojrzałego jest to brzemię za wielkie, a cóż dopiero dla młodocianego. Dodać przytem trzeba, że nauka rozmaitych dźwięków dla tych samych pojęć musi się odbywać kosztem rozwoju tych pojęć, a więc wywoływać pewne przytępienie umysłowe.

Jaki będzie praktyczny wynik tych gwarnych rozpraw nad szkołą w prasie ruskiej, orzec trudno; w każdym razie dowodzą one uświadamiania się dawno odczuwanej potrzeby i badania wartości systemu, który ujawnił już swe braki.

SPRAWY EKONOMICZNE.

POMOC DLA ZIEMIAN.

W poprzednim numerze *Prawdy* zaznaczyliśmy trudności, jakie napotka Towarzystwo kredytowe ziemskie w niesieniu pomocy dotkniętym klęską nieurodzaju. Ważną tę sprawę rozświetla szczegółowym wywodem *Gazeta warszawska*, popierającym nasz pogląd. Przedewszystkiem określa ona zasady, na których pomoc ta okazaną być może.

„Pierwszą z tych zasad jest — mówi *Gazeta* — że *o umorzeniu żadnej raty mowy być nie może. Towarzystwo może udzielić stowarzyszonemu ulgę w formie rozłożenia najwięcej czterech rat na późniejsze termina, może oznaczyć bardzo nizki od tych rozłożonych rat procent, może stracić część swej należności, jeżeli ona przez sprzedaż dóbr zadłużonych nie da się odzyskać, może umorzyć kary, ale raty darować nie może, bo na to ustawa nie pozwala.*

Drugą zasadą jest, że należy nieść pomoc tym tylko stowarzyszonym, którzy jej nieodzownie potrzebują, a wypuścić z pod opieki tych, którzy się bez niej obejść mogą. Do tych ostatnich zaliczamy ludzi możnych, posiadających zaoszczędzone kapitały, albo przynajmniej czyste lub lekko obciążone hypoteki i możność ratowania się czy to osobistym, czy rzeczowym kredytem. O pomocy więc takiej lub innej, wszystkim bez wyjątku stowarzyszonym, klęską nieuro-

---

zany na żebraninę i wsparcie dobrych ludzi, to straszna nędza. A więc mu wciąż doradzaliśmy:

— Napisz do syna, żeby ci coś przysłał. Grunt i chałupę ci zjadł, to teraz powinien coś dać!

— Co to znaczy zjadł?! Kto to śmie powiedzieć, że mi zjadł grunt i chałupę!

A choć stary i chory rozgniewał się okropnie i obrzucił nas wyrzutami. Nakoniec zawołał przecie kulawego Tomażka Dolinca, który we wsi nieumiejącym pisać listy pisywał. Ten nabazgrał list do młodego doktora Antoniego koślawemi literami, wielce podobnemi do kulawego pisarza. Donosił, że ojciec leży chory, niema co jeść i pić, brak mu ciepłego i miękkiego łóżka i wszelkiej usługi. Prosił więc, żeby pan doktór przecie w czemś dopomógł swemu staremu ojcu.

Tymczasem minęły dnie i tygodnie a żadna odpowiedź nie nadeszła. Pan doktór nie miał czasu odpisać dogorywającemu ojcu. Wtenczas sąsiedzi zaczęli ogólnie staremu mówić:

— Widzisz, nic nie odpisuje, nic chce ci dopomódz, szkaradne dziecko!

Ale stary Kimovec zaraz zakipiał gniewem:

— Milczcie! A skąd wy wiecie, czy on ten list otrzymał? Przecież nawet listy pieniężne czasem giną, cóż dziwnego, że nie odebrał nierekomendowanego. Jak wy śmiecie dla tego mówić, że mój Tonczek o mnie zapomniał. Toby było wprost niemożliwem!

Tomażek Dolinec musiał więc napisać drugi list do pana doktora! Tym razem nadeszła nareszcie odpowiedź.

Raz w niedzielę popołudniu, kiedy siedzieliśmy na poddaszu u Gaberca, gdzie stary Kimovec mieszkał, pokazał się we drzwiach woźny Drażko Sadar, który wówczas roznosił listy. W ręce trzymał cieniutki liścik. Stary zerwał się z radosnym okrzykiem z łoża boleści:

— Patrzcie list od mego syna! Widzicie, że mi przecie odpisał!

Tomażek Dolinec wziął list, odpieczętował go i wyjął uważnie zawartość jego. Ostrożnie rozłożył papier, obejrzał go na wszystkie strony, popatrzył się pod stół, czy przy otwieraniu koperty co przypadkiem nie wyleciało, a nakoniec zawołał: „Ale on żadnych pieniędzy nie przysłał!"

— E, po co ma mi osobno pieniądze posyłać, kiedy wkrótce i tak sam przyjedzie. Czytaj, tylko prędko Tomażku!

Na twarzy starca widać było wielki niepokój. Tomażek zaczął czytać, sylabizując powoli każde słowo z osobna:

„Kochany ojcze! W Waszym liście skarżycie się, żeście chorzy! Bieda! ale Wyście już rzeczywiście starzy i musicie być przygotowani, że lada chwila wybije Wasza ostatnia godzina. Już to tak się dzieje na tym świecie i tak Bóg chce! Żądacie, żebym do Was przyjechał. Nie mogę, niestety, gdyż jestem bardzo zajęty. Ale jeżeli i tak musicie umierać, to Wam wszystko jedno, czy ja do Was przyjadę, czy nie. A co zrobiliście z trzydziestoma cwancygierami, które dla Was zostawiłem. Według mojego obliczenia powinniście mieć jeszcze połowę."

Dalej dodał parę słów, życząc ojcu dobrego zdrowia i żegnając go! Starzec westchnął boleśnie na swem twardem łożu:

— Czy jeszcze który z was potrafi ten list przeczytać? — zapytał ponuro.

Zgłosił się jeszcze Davarin Vratar, wziął pismo do swej brudnej, spracowanej dłoni i sylabizował uważnie słowo za słowem. Ale przeczytał to samo, co i Tomażek. Starzec zbladł jak trup i z głębi piersi wyrwał mu mu się rozpaczliwy jęk:

— Prawie mi się zdaje, że on o mnie rzeczywiście zapomniał!

Z jakim bólem wydostały się te słowa z ust jego!

Potem obrócił się do ściany i nie już więcej nie mówił tylko jęczał boleśnie. Dopiero kiedyśmy odchodzili, odwrócił się do nas i zawołał ponuro:

— Tylko nie mówcie mu, żem ciężko umierał.

Pogrzeb jego był oczywiście bardzo ubogi a żaden kamień ani pomnik nie zdobi jego grobu. Co wiosnę rośnie na nim oset i trawa a nikt się o niego nie pyta...

Tłom. *Meg.*

dzaju dotkniętym, również mowy być nie może.

Trzecią z rzędu zasadą jest, aby pomoc, potrzebującym jej udzielona, osiągnęła zamierzony cel, tj. aby uratowala jeśli już nie egzystencyę stowarzyszonego właściciela majątku, to przynajmniej egzystencyę majątku, pojętego jako jednostkę gospodarską produkującą i dochód przynoszącą. Udzielać ulgę stowarzyszonemu i właścicielowi majątku zbyt obdłużonego i będącego w stanie upadku pod względem gospodarczym, na to jedynie, aby przedłużyć termin jego konania, którego ostatecznym rezultatem będzie zupełne zniszczenie siły produkcyjnej majątku, nie dałoby się usprawiedliwić ani z moralnego, ani z ekonomicznego stanowiska.

W ścisłym związku z poprzednią, a czwartą i ostatnią zasadą, jest wzgląd na bezpieczeństwo pożyczki lokowanej na majątku właściciela, któremu się udziela ulg. Fundusze rozrządzalne Towarzystwa są własnością wszystkich stowarzyszonych; komitet Towarzystwa jest stróżem tej własności i żadne względy nie mogą go upoważnić do lekkomyślnego funduszami tymi szafowania i narażania ich na straty.

O ile znamy pojęcia i usposobienia, naczelne władze Towarzystwa temi a nie innemi rządzić się będą zasadami przy rozpatrywaniu zbiorowych żądań pomocy. Drugim ważnym czynnikiem w tej kwestyi, z którym się rachować trzeba, jest możność Towarzystwa, czyli fundusze, jakimi ono w celach niesienia pomocy stowarzyszonym rozporządzać może. Otóż rozpatrzmy się bliżej w tej kwestyi.

Ponieważ sprawozdanie Dyrekcyi Głównej za drugie półrocze 1888 r., sięgające po dzień 1 (13) maja r. b. jeszcze nie jest uformowane, posługujemy się sprawozdaniem z 1-sze półrocze tegoż 1888 r., sięgającem po dzień 1 (13) listopada r. z. 1888, wiedząc skądinąd, że różnica ostatecznych cyfr do naszego rachunku potrzebnych będzie bardzo nieznaczna.

Otóż w dniu 1 (13) listopada 1888 r. Towarzystwo posiadało kapitału rezerwowego 7,151,949 rub. 59 kop. Ponieważ jednak w sumie tej mieszczą się zaliczenia z kapitału tego poczynione w sumie 691,414 rub. 74 kop., Towarzystwo przeto posiada rozporządzalnego kapitału rezerwowego 6,460,534 rub. 85 kop., z których gotowizną 268,780 rubli 25 kop. i w papierach procentowych 6,191,754 rub. 60 k., czyli razem, jak wyżej, 6,460,534 rub. 85 kop.

Raty zgóry powinno być 3,809,927 rub. 84 kop.; ponieważ jednak stowarzyszeni zalegają z powyższej sumy 1,242,714 rub. 51 kop., przeto Towarzystwo posiada rzeczywiście wpłaconej raty z góry sumę 2,567,213 rub.

Z sumy tej jest w obrocie na potrzeby konwersyi za stowarzyszonych przez Dyrekcyę Główną przeprowadzonej 2,164,000 rub., które aż do ukończenia tej operacyi, lata całe trwać mogącej, z obrotu tego wycofane być nie mogą. Oprócz tego znajduje się z raty zgóry u stowarzyszonych w zaległościach i w zaliczeniach 406,722 rub. 56½ kop., tak, że z całej raty zgóry pozostaje w kasach Towarzystwa gotowizną i rozporządzalnych 90 rub. 76½ kop. Razem więc jest 6,460,625 rub. 61½ kop. rzeczywistej i rozporządzalnej własności Towarzystwa.

Z powyższego rachunku wypływa jasno fakt, że z wyjątkiem 90 rub., cała rata zgóry, a więc prawie 3,900,000 rub. jest uwięziona albo w zaległościach, albo w zaliczeniach u stowarzyszonych, albo w obrocie operacyi konwersyjnej, na ich korzyść i w ich interesie wykonywanej, że również w zaliczeniach spoczywa około 700,000 rub. z kapitału rezerwowego, i że z wyjątkiem jakichś 9,000 rub., w kapitale na administracyę zaoszczędzonych, wszystkie dawniejsze oszczędności Towarzystwa są wyczerpane.

Są wprawdzie jeszcze inne fundusze w posiadaniu Towarzystwa będące, a mianowicie fundusze z dawnych okresów dla niezgłaszających się,

wynoszące rubli . . . 154,827 kop. 02½
i depozyty sporne w sumie rubli . . . . . . 383,749 kop. 41½
czyli razem rubli . . . 538,576 kop. 44;

ale fundusze te są obcą własnością i użycie ich na fundusz obrotowy Towarzystwa z wielką chyba oględnością nastąpićby mogło.

Ostatecznie więc Towarzystwo posiada, jak wykazano wyżej, jedynie 6,460,625 rs. funduszu rezerwowego w gotowiźnie i w papierach procentowych, stojącego na straży terminowej wypłatności Towarzystwa za listy zastawne wylosowane i za ubiegłe kupony.

Łatwo pojąć, że wobec znacznego upadku cen ziemi, jakiego jesteśmy świadkami, i wobec zachwianej wypłatności rat, od stowarzyszonych Towarzystwu przypadających, fundusz rezerwowy, w kasach Towarzystwa pozostający, stanowi najkardynalniejszą gwarancyę wypłatności samego Towarzystwa i jest też owym kamieniem węgielnym, na którym się opiera zaufanie świata finansowego do solidności Towarzystwa, jakiem się ono dotąd cieszy i szczyci. Zatracić to zaufanie, albo je nawet osłabić tylko, byłoby więcej niż lekkomyślnością, więcej niż błędem; byłoby to zbrodnią, jakiej żadne względy usprawiedliwićby nie zdołały i jakiej komitet, jako pełnomocnik stowarzyszonych, dopuścić się nie może.

Nie przesądzamy kwestyi, jaką część rozporządzalnego funduszu rezerwowego roztropność pozwoli użyć na cele niezawodnie i nader ważne i nader sympatyczne: ratowania stowarzyszonych, dotkniętych klęską nieurodzaju, potrzebujących koniecznej pomocy i przedstawiających gwarancyę, że udzielona im pomoc zdoła ich od upadku uratować. Kwestya ta będzie przedmiotem bardzo gruntownego rozbioru i badania w ogólnem zebraniu komitetu, w miesiącu sierpniu zebrać się mającego, i wątpię nie można ani na chwilę, że władze Towarzystwa uczynią wszystko, co tylko z trzeźwą oceną położenia, z roztropnością i z wyraźnymi przepisami prawa da się pogodzić.

Niezależnie jednak od kwestyi granicy, w jakiej władze Towarzystwa uznają się w możności zwrócić część kapitału rezerwowego w kierunku ulg, pożądanem jest, aby zainteresowane w kwestyi tej osobistości nie straciły z uwagi i z pamięci pewnych konieczności, z któremi żaden kompromis nie jest dopuszczalny, a mianowicie:

1) że ulgi mogą tylko być przyznawane pojedynczym stowarzyszonym w granicach przepisów art. 189—197 Ustawy z r. 1888 w skutek klęski we właściwym terminie meldowanej i na gruncie sprawdzonej;

2) że im większa część kapitału rezerwowego będzie na ten cel użytą, tem większą składką na pokrycie kosztów administracyi, stowarzyszeni będą musieli być obciążeni, i

3) że w prostym stosunku do sumy, jaką władze Towarzystwa na ulgi w roku bieżącym uznają się w konieczności i w możności wydatkować, umniejszy się względność i wyrozumiałość tychże władz, przy egzekucyi naleźności, skoro nadejdzie znowu termin opłaty rat bieżących, oraz rat pod ulgą będących.

Jeszcze jedno dodajemy objaśnienie. Spotkaliśmy się ze zdaniem, że Towarzystwo w myśl art. 263 Ustawy z 1888 r. przez wypuszczenie t. zw. obligacyj może wzmocnić swoje środki, a więc i możność udzielenia stowarzyszonym o wiele skuteczniejszej, bo szerszej pomocy, niż to obecnie uczynić jest w stanie. Tak jest, Towarzystwo może wypuścić w mowie będące obligacye, w sumie nieprzewyższającej jednej raty półrocznej, ale nie inaczej, niż za specyalnem upoważnieniem ministra skarbu i wtedy tylko, gdy kapitał rezerwowy Towarzystwa okaże się niedostatecznym do zabezpieczenia terminowej wypłaty ubiegłych kuponów i wylosowanych listów zastawnych, czyli innemi słowy, gdy Towarzystwo ujrzy się nad brzegiem bankructwa."

Jak widzimy, jest to poniekąd strumień zimnej wody. Nie można się dziwić właścicielom ziemskim (jak dawniej miejskim), że przeciętnie zadłużeni do 68% wartości swych majątków i dotknięci klęską przypuszczają szturm do kasy swego Towarzystwa a nawet że niektórzy w gromadzie z innymi chcieliby przy pomocy tej ręki wydobyć się z kieszeni lichwiarskich; ale również trzeba uznać przezorność władz Towarzystwa, że nie pozwalają naruszyć podstawy instytucyi i zamykają jej skarbiec przed tymi, których zrujnowała nie susza teraz, ale hulaszczość dawniej. Na rachunek bowiem tej suszy zapisuje się więcej, niż ona zdziałała i pod jej osłoną puka do Towarzystwa niejeden zrujnowany posiadacz Maniek i Józiek lub były gość przybytków wesołego życia.

UDOSKONALENIA ZBYTU ZBOŻOWEGO.

Wiadomo, że przewlekłe przesilenie rolne wytworzyło w prasie i literaturze ekonomicznej ruskiej dwa prądy opinii co do przyczyn tego zjawiska i środków zaradczych, dwa wybitnie różne poglądy teoretyków. Podczas gdy jedni poddają surowej krytyce sam system gospodarczy i zalecają, jako jedyną dźwignię przemysłu rolnego, podniesienie wydajności pracy narodowej, drudzy usiłują zwalić całą winę na wadliwe warunki zbytu. Ideałem pierwszych są wzorowe szkoły agronomiczne i dogodny kredyt rolniczy; marzeniem drugich — ułatwienia w środkach przewozowych, ulepszenia portowe. I jedne i drugie żądania nie są bezzasadne, jedne sięgają głębiej i gdyby były urzeczywistnione, mogłyby być trwalsze w skutkach, drugie płytsze, nie przestaną nigdy nosić cech jednostronności. Ale oto zbliża się chwila spełnienia jednego z najgorętszych życzeń tej ostatniej kategoryi. Towarzystwo południowo-zachodnich dróg żelaznych „wyraziło stanowczy zamiar" zbudowania elewatorów na swoich stacyach. Raz dany przykład może zrodzić naśladowców i w innych towarzystwach kolejowych, a wtedy świetny pomysł amerykański zacznie zapuszczać korzenie na ugorze słowiańskim, rzadkiemi bruzdami kapitalizmu przeoranym.

Żeby zdać sobie sprawę z możliwych skutków pojawienia się w przyszłości niedalekiej elewatorów, wypada choćby pobieżnie przypomnieć czytelnikowi *Prawdy* ich techniczną stronę. Ameryka pod nimi rozumie śpichrze zbożowe, opatrzone sortowniami ziarna i specyalnemi windami towarowemi do ładowania na okręty, statki itp. Otóż te dwie cechy elewatora posiadają największą doniosłość. Sortownia ziarna będzie ni mniej ni więcej, tylko rogatką dla wytworów rolnych, wystawioną w myśl wymagań rynku wszechświatowego. Rynek to wszechświatowy każe sobie sporządzić, że tak powiem, określoną liczbę przetaków, przez które ręce kupieckie przepuszczać będą plewy zacofania techniki gospodarczej. Będzie to przyrząd do znaglania w kierunku większych natężeń kultury. Wygra na tem postęp rolnictwa. Ale równocześnie użycie kapitalistyczne siły parowej, zamiast działającej dotychczas w postaci tragarzy portowych — mięśniowej, wyrzuci na bruk tysiące ludzi, dla których odtąd rozpocznie się bolesny proces przystosowywania się do nowych warunków... Ale za to pasorzytne pośrednictwo przekupniów będzie unicestwione, wielcy wytwórcy zboża nauczą się

epiej odpowiadać wymaganiom rynku i tem samem (jakością ziarna) odbiją minione straty. Zachodzi tylko obawa, czy rozsądnie będzie oddać budowę elewatorów w ręce towarzystw kolejowych, które, jak wiadomo, tytułem monopolistycznego stanowiska, zawsze sowicie podskubywały rolników?

ZWYŻKA CEN CUKRU.

Jednem z najświeższych zjawisk rynkowych jest zwyżka cen cukru. Niezawodnie udział w niej spekulacyi giełdowej nie trudno wyśledzić, ale nie należy wpadać w jednostronność. Organ ministeryum finansów za istotną przyczynę tej zmiany uważa skurczenie rozmiarów produkcyi, spowodowane upadkiem cen w niedawnej przeszłości. To też teraz nastaje obfite żniwo dla pp. cukrowników — powiadają *Rusk. Wiedomosti*. Ale za to dla spożywców, nawykłych do niskich cen, ciężki będzie proces przystosowania się. W czasie całego okresu przesilenia udało się cukrownikom przechylić na stronę swoich interesów państwo, premie wywozowe, cła opiekuńcze, wszystko było użyte dla regulacyi wytwarzania cukrowniczego na koszt kieszeni spożywców. Cel osiągnięto, czyżby i nadal miały trwać podobne środki? Istotnie, w sam czas rzucają to pytanie *Rusk. Wied.* Teraz, kiedy równowaga zachwiana uprzednią gorączką tworzenia wróciła, podpórki protekcyjne, spoczywające na podstawie kieszeni spożywców, stają się zbytecznemi, zwłaszcza że zapowiedziany nieurodzaj buraków dążność zwyżkową z pewnością będzie podsycał.

P.

BADANIA NAUKOWE.

PRACE W ZAKRESIE RELIGII PORÓWNAWCZEJ.

II.

Już wiemy, że Spencer usiłuje wyznaczyć rodowód wszelkiego wierzenia na globie ziemskim i czyni to na podstawie materyału porównawczo-etnograficznego.

Punktem wyjścia dla jego wywodów jest przedstawienie umysłowości pra-człowieka według danych z życia tegoczesnych ludów dzikich. Obecny człowiek dziki odznacza się zupełnym brakiem ciekawości naukowej i chęci wytłomaczenia czegoś. Zwłaszcza obojętnie spogląda on na otaczającą go przyrodę i odbywające się w niej zjawiska, jak wschód lub zachód słońca i in. Zaprząta go jedynie troska o zaspokojenie głodu, po której odpoczywa w bezczynności, póki brak pokarmów nie zmusi go znowu do szukania środków spożywczych. Odżywianie jest w najwyższym stopniu nieprawidłowe, gdyż po nadmiernem zwierzęcem objedzeniu się następuje przymusowy, często kilkodniowy post. Mowa niewykształcona; busżman nie jest zdolny do porozumiewania się z współtowarzyszami w mrokach nocy, gdyż pantominy stanowią niezbędny środek pomocniczy wypowiedzenia myśli. Zdolność do snucia idej oderwanych niezmiernie mała. Naturalnie, wszystkie te właściwości należy silnie spotęgować, jeżeli rzecz chodzi o umysłowość bardzo dalekich przodków naszych. Wobec tego niepodobna przypuścić, aby istota, bezmyślnie spoglądająca na zjawiska przyrody, miała zacząć od kultu żywiołów i od mitycznego tłomaczenia ich. Początku pojęć religijnych wypada poszukiwać gdzieindziej — w stanie fizyologiczno-duchowym, odpowiadającym warunkom ówczesnym bytu. Jakoż wobec nieprawidłowego odżywiania się widziadła i mary senne u pierwotnego człowieka musiały odznaczać się niezmierną mocą i wyrazistością. Przeładowanie żołądka po okresie głodu sprowadzało sny ciężkie. Śni mu się zatem, że wróg zabija go w spotkaniu; budzi się i widzi, że leży na dawnem miejscu wśród obozowiska, czuje jednakże jakiś ból w boku. Jak to ma sobie tłomaczyć? Umysłowi pierwotnemu obcem było nasze naukowe pojmowanie pracy mózgowej podczas snu. Możliwem jest tylko jedno wyjaśnienie, mianowicie, iż widziane zdarzenia odbyły się w samej rzeczy. Atoli i sam ów człowiek posiada dowody, że spał nieruchomie na tem samem miejscu, a spytani towarzysze dają podobne świadectwo. Wobec niedoskonałości mowy, opowiadanie o widziadłach sennych nabiera cech rzeczowych i zmysłowych; znika wszelki odcień, pozwalający wątpić o ich rzetelności; dochodzi do tego, że mówi się o nich jako o zdarzeniach istotnych, które przytrafiły się, mimo iż osoba spoczywała zdjęta snem w obozie. Nie pozostaje innego wyjścia nad przyjęcie, że istota ludzka składa się z dwóch jestestw, jednego materyalniejszego — ciała, drugiego subtelniejszego — niby cienia lub tchnienia. Z ich współczesnego a jednoczesnego bytowania pochodzi zjawisko świadomości, z rozłączenia — bezwładność senna.

Człowiek, kiedy raz już doszedł do podobnego wniosku, znajduje w swem otoczeniu mnóstwo przemawiających za tem dowodów. Każdy przedmiot posiada właściwy sobie cień, który czasami równie odłącza się, jak np. w przypadku obłoków, których cienie przesuwają się po ziemi zdala od swego podkładu rzeczowego. Tak samo obraz w wodzie występuje w odłączeniu od przedmiotu. Wiara w „sobowtórów“ umacnia się. Naturalnie sobowtór jest ukształtowany według wzoru żyjącego, tj. posiada tę samą postać, potrzeby, łaknienia i uczucia. „Dusza, odłączywszy się od ciała, wykonywa te same czynności, co w życiu“ (araukani); dusze zmarłych, błąkając się tu i owdzie, znoszą chłód, pragnienie, głód i zmęczenie“ (kareni). O podobnej zmysłowości świadczą krążące w Europie opowieści o duchach. Zdolność otwierania drzwi, brząkania kajdanami i wydawania dźwięków każe przypuszczać znaczną spoistość ciała; męczarnie, zadawane w miejscach pokuty i kary pośmiertnej, przemawiają za tem samem. Sobowtór, opuszczając cielesną powłokę chwilowo, wywołuje senność; zupełnie — śmierć. Lecz nie umiera on w tym ostatnim razie jako ciało. Żyje nadal, jak to podają fidżyjczycy, według których duchy zmarłych mnożą się, żyją rodzinami, walczą i robią wszystko, jak ludzie żyjący na tym świecie. Sobowtór łaknie wszystkiego jak za życia, otrzymać zaś może to od żyjących. I oto wyrastają obowiązki żyjącego społeczeństwa względem zmarłych członków. W starym Kalabarze budują dla nieboszczyka dom na wybrzeżu i znoszą najrozmaitsze przedmioty wraz z łóżkiem, aby duch nie potrzebował spać na gołej ziemi. Przynoszą zatem na mogiłę oręż, jadło, własność zmarłego — z obawy przed zemstą z jego strony w razie niespełnienia tego. U korów (w Meksyku) umieszczano przed grobem nieco pożywienia na tyczkach, aby duch nie przychodził po nie do trzody, stanowiącej ongi jego własność. Nie wdając się w szczegółowe zaciekania, zaznaczyć należy, że z każdem wymierającem pokoleniem przybywa nowy zastęp duchów-sobowtórów. Indyanie z nad Amazonki, którzy grzebią umarłych w swych olbrzymich domostwach, sądzą, że można potrącić ducha na każdym kroku; zdaniem znowu karenów, świat jest gęściej zaludniony duchami, aniżeli ludźmi. Stanowią one niewyczerpane źródło dla wyjaśnienia wszelkiej okoliczności. Pierwotny umysł w ich istnieniu znajduje rozwiązanie dla każdego zdarzenia. One to są sprawcami powodzenia lub klęski, choroby i śmierci. Sobowtór, wszedłszy do ciała czyjegoś, wywołuje gorączkę i inną niemoc. Pierwotne leczenie jest w gruncie rzeczy niczem innem, jeno wyganianiem z chorego podobnych wtrętów: obok znachorstwa rozwija się czarodziejstwo, tj. nasyłanie duchów w celach szkodliwych. Po za daninami składanemi na grobie zmarłego powstają ofiary dla tej ogromnej chmary błąkających się sobowtórów; tak np. bodowie i dhimale ofiarują w porze letniej drób i owoce.

W powyższem przedstawieniu mamy do czynienia z wierzeniami właściwemi najniższym szczepom tegoczesnej ludzkości, o których mówi się, że posiadają religię demoniczną. W tym stanie rzesze duchów zaludniają świat. Człowiek na każdym kroku może ściągnąć ich niełaskę i winien wykupywać się odpowiedniem postępowaniem. Jest to podkład, z którego wyrastają najrozmaitsze systemy i kulty religijne globu ziemskiego. Z grobowca, na którym składa się nieboszczykowi dary, rozwijają się ołtarze i świątynie; z samych ofiar — całopalenia bóstwom i posty, z zwyczajów pogrzebowych — modlitwy i inne obrządki. Zdarza się to zwłaszcza, kiedy zmarły był potężną postacią wśród plemienia, np. wodzem, wielkim czarodziejem itd. Znoszenie darów na mogiłę przyjmuje trwalszą formę, ukazują się kapłani, którzy o to się troszczą. Powstaje wtedy, na osnowie obawy przed niezmierzonemi tłuszczami demonów, kult osobowy jakiegoś imiennego ducha. Podobny rodowód można przewybornie udowodnić w dawnem Peru. W Yorubie, Szango, bóg grzmotu, poczytywany jest za okrutnego a potężnego króla, który wzniósł się do nieba. Ytzamet (w Yukatanie) był wielkim królem; kiedy umarł, wzniesiono mu ołtarze i stał się wyrocznią.

Trudno zagłębiać się nam, jak z powyższych prostych wyobrażeń powstawały z biegiem czasu i wyłaniały się coraz bardziej złożone lub nowe pojęcia: nieba i piekła, hierarchii duchów, obowiązków kultowych itd. Zauważymy, że ewolucya społeczna w świecie duchów jest odbiciem podobnego rozwoju, który podąża wśród świata ziemskiego; tak np. ideje o jednobóstwie ukazują się z powstawaniem ustrojów państwowych, z silną, wszechwładną a ześrodkowaną w jednej osobie władzą. Natomiast ważniejszą dla nas rzeczą jest zagadnienie, w jaki sposób socyolog angielski wyprowadza z wiary w sobowtórów tak niepodobne do niej kulty, jak różne fetyszyzmy, cześć oddawana zwierzętom, roślinom lub gwiazdom itd. Zaczniemy od bałwochwalstwa, które jakkolwiek nie przedstawia żadnego systemu religijnego, lecz stanowi cząstkę każdego kultu, rzuca wszakże niejakie światło pa praktyki feteszyzmu. Niema co mówić, iż w rozumieniu Spencera jest ono odnośnie do sobowtórów zjawiskiem późniejszym, pochodnem. Przypomina on, że w dawnym Meksyku, kiedy ktokolwiek umarł w podróży lub poległ w boju i ciała nie odnaleziono, robiono niedołężny posążek z drzewa, mający wyobrażać nieboszczyka i oddawano wszelkie honory pogrzebowe, jak gdyby prawdziwemu trupowi. Ostyacy znowu robią nieudolną figurkę drewnianą ku uczczeniu nieboszczyka, którą umieszczają w jurcie i oddają jej odpowiednią cześć przez krótszy lub dłuższy przeciąg czasu; przy każdym posiłku składają przed nią nieco pożywienia. Posąg w obu powyższych wypadkach uchodzi za siedzibę odpowiedniego ducha. Podobnie kamień, suche drzewo, skała, jeżeli swym wyglądem przypominają jakąś część ciała ludzkiego, mogą także nasunąć myśl, że są siedzibą takiej samej potęgi demonicznej. Łatwo teraz zrozumieć rodowód fetyszyzmu według Spencera; ponieważ jednak nie chodzi nam o dokładne oddanie jego poglądów, pozostawimy dalsze jego wywody w tej mierze na uboczu, zaznaczając jedynie fakt najważniejszy w dowodzeniu. Otóż wynika, iż fetyszyzm jest późniejszym tworem umysłowym; Spencer też kładzie

nacisk na tę okoliczność, że damarzy z południowo-zachodniej Afryki, stojący pod każdym względem niżej od murzynów, nie mają żadnego wyobrażenia o fetyszach. Z podobnego źródła powstaje kult zwierząt. Apachowie np. utrzymują, że każdy grzechotnik mieści w sobie duszę niedobrego człowieka. Naturalna to rzecz, iż zwierzęta tego rodzaju doznawać będą szczególnej czci i względów. Z drugiej strony, pojedyncze rodziny wśród plemienia wyprowadzają swe pochodzenie od zwierząt, jak np. u czerwono-skórych lub australczyków. Zdaniem Spencera pochodzi to stąd, że ludy pierwotne mają zwyczaj nadawania osobom nazw zwierzęcych: bystrego wilka, silnego jelenia. Jakiś pra-ojciec, imieniem Tygrys, wsławił się np. czynami wojennymi i dał początek nowemu rodowi. Pamięć o nim nie zaginęła i jest czczona wśród plemienia, jakkolwiek dzięki niewydoskonaleniu pierwotnego języka świadomość została zatracona, że to był człowiek. Ród sądzi, że pochodzi od zwierzęcia tygrysa, i względem niego wypełnia różne praktyki. Na równi z innemi przyczynami, te same względy „zaćmienia" językowego spowodowały powstanie kultu roślin lub ciał niebieskich. Żył ongi wielki bohater, a zwał się Słońce. Kiedy umarł, podanie zachowało o nim pamięć, doprowadziło do składania ofiar Słońcu, lecz jednocześnie zapomniało o ludzkiej naturze boga i pomieszało bohatera z istotnem słońcem. Równie pradziadowie jakiegoś plemienia mogli wyjść z okolic pewnej góry lub trzęsawisk pokrytych trzciną albo wreszcie przybyć z za morza. Potomkowie, wskutek zaćmienia językowego, przyjmują, że pochodzą od góry, trzciny błotnej albo wyszli z piany morskiej. Jednocześnie ukaże się kult odpowiedniego przedmiotu.

Skreśliliśmy całokształt doktryny Spencerowskiej, naturalnie w najważniejszych i zasadniczych zarysach. Drobiazgowiej wykończony on został i rozwinięty przez badacza niemieckiego J. Lipperta. Wówczas kiedy filozof angielski zwrócił główną uwagę na wykazanie, jak powstała wiara w sobowtórów i jak się w dalszym ciągu rozwijała, oraz spróbował wyznaczyć, jaką drogą dała ona początek różnym kultom: fetyszyzmowi, zwierzochwalstwu, czci sił przyrody itd., natomiast Lippert postawił sobie za zadanie wyśledzenie źródła niektórych historycznych systemów religijnych. Pracę jego jedynie pogłębiają doktrynę Spencerowską. Na przykładzie jahwizmu hebrajskiego wykazał on, że mamy tutaj do czynienia z kultem zmarłego pra-ojca, który nieodzownie musiał się zrodzić na pokładzie rodziny patryarchalnej, opartej na wszechwładzy patryarchy wśród gospodarstwa. W innem dziele przedsięwziął on podobną próbę dla religij aryjczyków europejskich (słowian, germanów, hellenów, rzymian). Wreszcie w najważniejszem swem dziele, *Dziejach kultury ludzkiej*, jął się wyprowadzenia możliwych wierzeń i kultów religijnych ze źródła, wskazanego przez Spencera; a jakkolwiek pozwolił sobie pewnych odstępstw, wszakże tak nieznacznych, że w naszym krótkim szkicu możemy je pominąć. Słowem, w ostatecznem streszczeniu, teorya zjednoczona Spencera i Lipperta polega na tem, że wszelkie kulty są tworami pochodnymi i późniejszymi, które wyrosły na pierwotniejszym gruncie wiary w sobowtórów. Fetyszyzm jest tylko czcią martwych przedmiotów, nawiedzanych przez duchy; zwierzochwalstwo — kultem zwierząt, w których przebywają dusze zmarłych itd. Jeżeli teraz porównamy wyłożoną doktrynę z teoryami, rozwijanemi przez Kuhna i Maxa Millera, odrazu rzuca się w oczy jej wyższość. Usiłuje ona wynaleźć rodowód wszelkiej religii, wówczas gdy te ostatnie zajmują się jedynie tłomaczeniem mitów, stanowiących zaledwie cząstkę każdego systemu religijnego. A jednak mimo to wszystko, obie posiadają pewne z sobą pokrewieństwo, o ile rzecz dotyczy tłomaczenia mitów, a raczej t. zw. żywiołu „niedorzecznego," zawartego w podaniach mitycznych. Że Zeus jest wszechwiedzącym a jego oczy przenikają wszędzie, pierwiastek ten nie potrzebuje wyjaśnienia, gdyż boskość postaci jest dostatecznem tłomaczeniem. Ale, że ów bóg zstępuje na ziemię, pod postacią łabędzia uwodzi kobiety, że walczyć musi mozolnie z tytanami, rysy te wymagają bezwarunkowo oświetlenia. Szkoła Kuhnowska, jak widzimy, usiłowała wyjaśnić te dziwactwa przez przypuszczenie, że pod postaciami ludzi ukrywają się żywioły przyrody, ku czemu posługiwała się pewnego rodzaju „chorobą mowy." Spencer znowu w tym celu stawia założenie, że mity są opowiadaniem o czynach dalekich a sławnych przodków, przyczem przypuszcza jeszcze, że jeżeli ów pra-ojciec nazywał się imieniem zwierzęcem lub kosmicznem, potomkowie mogli o tem zapomnieć i raz mówić o człowieku, to znowu o odpowiedniem zwierzęciu. Z tego samego źródła mają wypływać dziwactwa, spotykane u różnych ludów, jak pół ludzcy a pół zwierzęcy bogowie. Zamiast więc „choroby" językowej, mamy znowu niejakie „zaćmienie" w tej samej dziedzinie... O ile to jest słusznem? Albo postawmy zagadnienie w sposób szerszy: o ile doktryna Spencero-Lippertowska zgadza się z wskazówkami faktycznemi, znajdującemi się w posiadaniu nauki tegoczesnej? Odpowiemy na to w następującym numerze.

Lud. Krz.

KILKA UWAG O SAMOBÓJSTWIE

pod względem psychologicznym.

IV.

Energia żywotna, istniejąca w organizmie ludzkim, zależąc tak od warunków ustroju cielesnego, jako też od jego odżywiania, jest ilościowo ograniczoną, a więc dającą się wyczerpać. Pewna jej część idzie na sprawy żywotne, pozostała reszta, tem większa, im mniej jej spotrzebowano na czynności fizyczne, może być użytą na sprawy duchowe — na myślenie, czucie i działanie celowe. Reszta owa, nagromadzona w układzie nerwowym, znajduje się w stanie mniejszego lub większego napięcia i wyzwala się w jakimkolwiebądź kierunku za odpowiedniem potrąceniem, którem bywa zwykle wrażenie bądź zewnętrzne, bądź wewnętrzne, albo też wyobrażenie. Przy silnem napięciu energii wystarcza najsłabszy bodziec do wyzwolenia ogromnej jej ilości, przy małem bodziec musi być znacznie silniejszym, ażeby mógł wywołać ten sam skutek. Energia, wyzwolona w jakimkolwiek kierunku, musi być w nim zużytą za pomocą odpowiednich mu czynności, takich np., jak praca umysłowa albo działanie, mające na celu zaspokojenie uczuć.

Bezpośrednią przyczyną naszego działania są uczucia i wyobrażenia, mające wspólne źródło we wrażeniach. Wyobrażenia i uczucia, powstając i ukształtowując się w nas powoli drogą doświadczenia, pod wpływem jego układają się w coraz większe całostki, których składowe części łączą się z sobą tem ściślej, im częściej występują razem w doświadczeniu. Wskutek tego wzajemnego łączenia się z sobą wyobrażeń i uczuć, zwanego prawem kojarzenia, jedno jakieś wyobrażenie wywołuje w umyśle inne, które się z niem łączyły, a jednocześnie może spowodować w duszy naszej stan przykry lub przyjemny, czyli uczucie, które mu pierwotnie towarzyszyło; tak samo dane uczucie może pociągnąć za sobą powstanie innych z niem skojarzonych, a zarazem przywołać na pamięć wyobrażenie przedmiotu lub wzburzenia, które tych uczuć były przyczyną. Widzimy z tego, że jak powstawanie w nas wyobrażeń i uczuć, tak ich kojarzenie się następuje pomimo nas i bez nas — i dopiero w późniejszym czasie dochodzimy do jakiejś władzy nad nagromadzonym w ten sposób materyałem, polegającej głównie na tem, że jedne wyobrażenia sprawdzamy i prostujemy za pomocą drugich, że jednym uczuciom przeciwstawiamy inne, ażeby je umiarkować i przywrócić naruszoną przez nie równowagę duszy. Lecz i do takiej władzy nad swemi wyobrażeniami i uczuciami nie każdy dochodzi. Z wolą człowiek się nie rodzi, lecz ją nabywa powoli, drogą walki z sobą samym. Do tej walki potrzebuje on pewnego zasobu energii, tudzież odpowiednich bodźców, któreby go zmusiły do wytworzenia w swych wyobrażeniach i uczuciach pobudek, zgodnych z zadaniami życia.

Każdy z nas przynosi z sobą na świat pewne skłonności i popędy, które, będąc odziedziczonem doświadczeniem przodków, stanowią dla naszej energii żywotnej utorowane drogi, nastręczające jej jaknajmniejszy opór w jej wyzwalaniu się. Wrodzone skłonności i popędy przy wadliwem wychowaniu łatwo mogą się stać namiętnościami i pragnieniami, które, zużywając cały zasób rozporządzalnej energii, przytłumiają wszelkie inne sprawy duchowe i czynią niemożliwem, a przynajmniej bardzo trudnem wyrobienie woli. Człowiek, który nie umie panować nad sobą, nie nauczył się zdawać sobie sprawy ze swych wyobrażeń, nie przywykł do opierania się doznanym wrażeniom i poddaje się ze ślepą uległością każdemu wzruszeniu, każdemu popędowi — staje się mimowolnem narzędziem swych namiętności i żądz i całe postępowanie jego nie jest niczem innem, jak działaniem automatu, różniącego się od zwykłych tem, że bywa świadomym tego, co robi i do czego zmierza. Taki też najłatwiej podlega obłędowi umysłowemu, który głównie pochodzi z braku panowania nad sobą. Przyczyną jego bywa wygórowanie jakiejś namiętności, która tak zapanowuje nad myślami, uczuciami i pragnieniami, że te zatracają swą samodzielność i rozwijają się w kierunku, jaki ona im wyznacza, albo też takie spotęgowanie ślepego popędu, że staje się on jedyną sprężyną wszelkiego działania. Człowiek w tym stanie traci powoli poczucie rzeczywistości, przestaje odróżniać swe wyobrażenia od faktów konkretnych i nie umieję zdać sobie sprawy ze swego stanu i ze stanu rzeczy, zachowuje tyle zaledwie świadomości, że potrafi oryentować się w codziennych okolicznościach życia i dobrać odpowiednie środki dla zaspokojenia dziwacznych swych chęci i wypełnienia zamiarów, jakie mu prosty przypadek lub kojarzenie wyobrażeń nastręczy.

Samobójstwo mimowolne dokonywa się zwykle w nienormalnym stanie umysłu — w obłędzie, pod wpływem namiętności i wskutek głębokiego wzruszenia, które, powstając nagle, wyczerpuje wszystkie siły żywotne. Stany te tem się różnią od normalnego, że w nich człowiek traci panowanie nad sobą, że kierując się pobudzeniami czysto wewnętrznemi, działa, że tak powiem, na oślep, bez względu na stosunki rzeczywiste, na zewnętrzne warunki życia. Czynności, w jednym z tych stanów dokonane, pochodzą nie z wyboru między danemi pobudkami, nie z ocenienia stosunku owych pobudek do ogólnych zadań życia, do indywidualnych dążności i warunków osobistego położenia, ale z popędu, któremu człowiek oprzeć się nie umie i pod którego wpływem działa czysto mechanicznie. W każdym jednak razie działa świadomie, gdyż wie, co robi i dla czego robi, umie dobrać odpowiednie środki i upatrzeć właściwe do wykonania swego zamiaru okoliczności — słowem, działa celowo.

Istotę obłędu stanowi przedewszystkiem rozprzężenie woli, a następnie pewne zabu-

rzenia, częściowe lub powszechne, w sferze uczuć. Przy częściowem zaburzeniu uczuć zatraca się równowaga między wrażeniami zewnętrznemi i spostrzeżeniami, a pewną grupą wrażeń wewnętrznych i wyobrażeń. Te ostatnie nabierają takiej siły i wyrazistości, że chory, nie mogąc ich odróżnić od wrażeń zewnętrznych i spostrzeżeń, zatraca właściwy punkt oparcia w rozpoznawaniu tego, co jest podmiotowem, a co przedmiotowem — i dopuszcza się kroków, które dla ludzi zdrowych są czystem szaleństwem, ale dla chorego są czynnością konsekwentną ze względu na kierujące nim pobudki. W tym stanie świadomość, chociaż częściowo zakłócona, istnieje i może zachowywać właściwą sobie jasność w zakresie spraw umysłowych, niemających bezpośredniego stosunku z uczuciem, które stanowi istotę obłędu, i z odnoszącemi się do niego wrażeniami i wyobrażeniami.

W manii samobójczej, prześladowczej, zarówno jak i w melancholii czynnej panujący stan duszy jest tej natury, że myśl o samobójstwie sama przez się nastręcza się umysłowi. Pod wpływem odziedziczonego popędu do samobójstwa powstaje powoli w duszy niezadowolenie z siebie i ze świata, które w danej chwili bądź z powodu okoliczności zewnętrznych, bądź wskutek warunków wewnętrznych, może dojść do takiej potęgi, że pragnienie pozbycia się życia, często nawet niewyraźne i niezeznawane, stanie się panującym nastrojem duszy. Wtedy wzmianka o samobójstwie, obcy przykład, lub samo kojarzenie wyobrażeń, nastręczające myśl o samobójstwie, staje się iskrą, która rozbudzając do świadomości popęd, kryjący się dotąd w tajnikach duszy, może spowodować wybuch jego, porywający za sobą wolę niezdolną do oporu.

Tak samo ma się rzecz i z manią prześladowczą, która rozwijając podejrzliwość i ukazując w każdym człowieku nieprzyjaciela, w każdem zdarzeniu intrygę i zdradę, podsyca niepokój o życie, zdrowie lub szczęście do tego stopnia, że w napadzie gwałtowniejszego rozdrażnienia śmierć może się przedstawić jako jedyna zbawczyni nieustających udręczeń.

Namiętność nie jest niczem innem, jak nałogiem uczucia, nawyknieniem do odbierania pewnych wrażeń. Wrażenia te, zrazu przyjemne, mogą się następnie stać przykremi, chociaż nie przestają być pożądanemi z powodu, że chorobliwem stanowi organizmu dostarczają pewnych pobudzeń, bez których on już obejść się nie może. Różni się ona od obłędu właściwego tem, że przy zupełnym braku panowania nad sobą świadomość może być nienaruszona, może jej towarzyszyć jasne i dokładne rozumienie stanu duszy i stosunków zewnętrznych. Jakoż pojmowanie swego poniżenia, w jakie dobrowolnie dał się wciągnąć, tudzież poczucie własnej niemocy wobec namiętności, będącej przyczyną jego poniżenia, zdolne są przejąć człowieka, w którym uczucie ludzkiej godności nie zupełnie jeszcze wygasło, wzgardą dla siebie samego i zniechęceniem i popchnąć go do samobójstwa. Do podobnegoż kroku doprowadza namiętność, zawiedziona w swych nadziejach, z któremi tak silnie skojarzyły się marzenia o przyszłości, że bez nich życie traci wszelki urok — albo napotykająca w swych dążeniach ciągłe przeszkody i utrudnienia, które wyczerpują siły żywotne i sprowadzają nadmierną wrażliwość i zniecierpliwienie.

Mniej świadomem bywa samobójstwo, popełniane w chwili gwałtownego wzruszenia, które sprowadza tak silne zaburzenie w sferze uczuć, że wszelka kontrola nad niemi rozumu i władza woli naraz ustaje i człowiek wykonywa automatycznie pewne ruchy, nie wiedząc po co i dlaczego. Nie umiejąc zdać sobie sprawy ze swego stanu i zapanować nad wzruszeniem, ulega on instynktownie naturalnej potrzebie użycia w jakikolwiekbądź sposób wyzwolonej nagle i nadmiernie energii żywotnej. W tym wypadku wykonywają się zwykle te ruchy, które w danym osobniku przedstawiają jaknajmniejszy opór dla wyzwolonej energii, dzięki szybko odziedziczonym usposobieniom, czy też nabytym przyzwyczajeniom. Krzyki przerażające, rwanie włosów na sobie, kaleczenie się, rzucanie na otaczających, a przedewszystkiem na sprawców swego uniesienia, zużywając nagromadzoną w mózgu energię, przynoszą ulgę i pozwalają człowiekowi odzyskać straconą na chwilę przytomność. Że w stanie takiego uniesienia, zapomnienia się może człowiek dopuścić się zabójstwa lub samobójstwa, łatwo zrozumieć, gdy zważymy, że działa on wtedy automatycznie i że na kierunek jego działania wpływa nie rozwaga, lecz proste kojarzenie wyobrażeń, zależne od przypadku, od chwilowego wrażenia. Zabijając kogoś lub samego siebie, wie on, co robi, ale nie wie, dla jakich powodów i jakie stąd następstwa wypłyną. Nad tem nie zastanawia się, gdyż wszelka praca myśli jest dla niego w tej chwili niemożliwą.

c) Gwałtowne wzruszenie, pozbawiające na razie człowieka przytomności — świadomości wyraźnej tego, co z nim i naokoło niego się dzieje, graniczy blisko z szałem, który powstaje w obłędzie umysłowym i w pewnych chorobach, sprowadzających zmiany patologiczne mózgu. Szał różni się tem głównie od silnego wzruszenia, że jest objawem czysto chorobliwym i podczas niego wszelka wogóle świadomość ustaje. To też samobójstwo, spełnione w szale, pod wpływem przywidzeń, majaczeń albo rozbudzonego popędu, który dotąd mógł się kryć w tajnikach serca dla braku warunków potrzebnych do jego objawienia się — jest samobójstwem bezwiednem, czynem tej samej natury, co działanie osoby, pogrążonej we śnie, albo zahipnotyzowanej.

Rozpatrzenie się we wszystkich rodzajach samobójstwa tak dowolnego jako też mimowolnego, świadomego i bezwiednego, doprowadza nas do przekonania, które już wyżej wypowiedziałem, że samobójstwo, rozważane ze stanowiska psychologicznego, tak samo jak i statystycznego, jest faktem koniecznym o tyle, o ile koniecznym jest skutek danej przyczyny. Konieczność jego przeto nie jest fatalistyczną, czyli taką, któraby pochodziła stąd, że przyczyna jego sama w sobie jest konieczną, nie dającą się usunąć; jest ona raczej deterministyczną, tkwiącą w warunkach zewnętrznych i wewnętrznych, które są zmienne i podlegają woli ludzkiej, jeżeli nie bezpośrednio, to pośrednio, przez zaprowadzenie ulepszeń w stosunkach społecznych, rozwijanie się w ludziach uczuć szlachetniejszych i rozbudzanie wyższych dążności, miarkujących popędy egoistyczne. Przejściowy stan dzisiejszej ludzkości pod wszystkimi wogóle względami ogranicza jej nawpół wojskowa, nawpół przemysłowa, wygórowana oświata u góry, ciemnota pełna uprzedzeń i przesądów, u dołu — stosunki ekonomiczne, ułatwiające centralizacyę bogactwa w ręku kilku jednostek i sprowadzające nędzę mas — wszystko to składa się na wytworzenie warunków, które walkę o byt czynią tak ciężką, że nie każdego stać na nią. Osobniki do niej niezdolne muszą z konieczności ginąć, jeżeli nie od głodowej śmierci, to z ręki kata, albo przez śmierć dobrowolną. Jakoż statystyka wyraźnie zaznacza, że między przestępstwami, zbrodniami a samobójstwem zachodzi pewien ilościowy stosunek, który wskazuje, że mają one wspólną przyczynę w tych samych warunkach zewnętrznych, jakkolwiek warunki wewnętrzne są różne. Jedynem przeto lekarstwem na samobójstwo jest z jednej strony reforma społeczno-ekonomiczna i oświata powszechna, z drugiej hygiena i wychowanie — pierwsza, wzmacniająca organizm i nadająca mu większą odporność na wpływy zewnętrzne, drugie — przyzwyczajające ludzi od najmłodszego wieku do panowania nad sobą i wytwarzające w ich duszy wyższe pragnienia i upodobania.

Władysław Kozłowski.

KARTKI NAUKOWO-ARTYSTYCZNE

Badania nad psychologią zwierząt. Psycholodzy, poświęcający się studyom nad zwierzętami, znaleźli się w szczęśliwem położeniu dzięki odkryciu w wodach stanu Conecticut dwugłowego okazu *Chrysemys picta*, gdyż drogą doświadczalną mogą przeprowadzić poszukiwania nad powstawaniem pojęcia o własnej jaźni u niższych kręgowców. Na tem samem tułowiu są to osadzone dwie szyje z dwoma odrębnemi głowami i co za tem idzie — centralnemi siedliskami czucia. Każda głowa porusza się, je, pije, oddycha niezależnie. Najmniejszej wskazówki, aby któreś z siedlisk świadomości doszło do poznania, że jednako z drugiem wypowiada potrzeby tego samego organizmu. Przeciwnie, pomiędzy obiema głowami wre nieustająca walka o byt. Kiedy podadzą cokolwiek do zjedzenia jednej, druga usiłuje wyrwać pokarm. Pochodzi nawet do tego, że to jedna, to znowu druga gęba chwyta za oko sąsiadki, sądząc, że ma przed sobą jakiś pokarm. Rozterka wzajemna jest tem większa, ponieważ poruszenia każdej pary nóg znajdują się w zależności od odpowiedniego mózgu. Jeżeli więc głowa jedna śpi, druga nie może nadać ciału jakiegoś ruchu, krom obracania się dokoła części śpiącej. Ruchy nóg nie idą współrzędnie. Obie nogi, już przednie, już tylne, podnoszą się razem i w następstwie tego tułów pada, lecz ruchu naprzód niema. Zresztą drogą doświadczenia zwierzę nauczyło się nieco zapanowywać nad tymi współczesnymi bodźcami, lubo nie zupełnie. Jeżeli przed posuwającym się żółwiem leży na drodze jakaś przeszkoda, prawa głowa kieruje na prawo, lewa na lewo i zwierzę lezie na samą zawadę. Przytem charakter głów jest odmienny, gdyż jedna odznacza się bojaźliwością, druga śmiałością. Słowem, mamy przed sobą dwuświadomość z odpowiedniem postępowaniem. A tymczasem ukazywanie się pewnych stanów świadomych zachodzi równocześnie u obu organizmów. Jednocześnie żądają one pokarmu, jednako poruszają członkami. Fizyolodzy czynią różne doświadczenia w nadziei, że sekcye anatomiczne na martwym a ciekawym okazie pozwoli im kiedyś odkryć różne zależności w czynnościach zwierzęcia, rzucające światło na zjawiska fizyologiczno-psychiczne.

Rozwój Japonii. Jeszcze przed kilku dziesiątkami lat było to państwo nawskróś barbarzyńskie, z trudnością wielką pozwalające u siebie zamieszkać obcokrajowcom europejskim. Dziś widok zupełnie się zmienił. Cywilizacya europejska przenika tu obecnie z nadzwyczajną siłą i głęboko zapuszcza korzenie. Wybitni japończycy kształcą się w różnych zakładach naukowych Europy i wracają do kraju, aby dokonywać przewrotu w różnych dziedzinach życia. Uniwersytet w Tokio liczy 1,218 słuchaczów. Wolny od zawad, które tamują w Europie drogę kształcenia się naukowego, urządzony został w sposób nieznany naszej części świata. Mamy tu wykłady o pozytywizmie Comte'a, agnostycyzmie Spencera. Jako podręczniki psychologii są używane dzieła Wundta i Spencera; dla historyi — Buckle'a itd. Uniwersytet wydaje czasopismo naukowe, w którem różni Sasaki, Mitsykuri, wykształceni na wzorach europejskich, piszą prace nad rodzimą fauną, florą, meteorologią nie gorzej, aniżeli w naszej Europie. Oświata rozpływa się szeroko. W obecnej chwili znajdujemy tu aż 30,026 szkół początkowych, a liczących po

50—100 uczniów w wieku od lat 6—14; nadto 10 szkół prawa, 31 medycyny, 13 rolnictwa, 6 handlowych, 4 farmacyjnych, 2 weterynaryjnych, 2 języków cudzoziemskich, 2 mechaniki, 3 marynarskich, 3 malarskie, 2 dla telegrafistów i 19 matematycznych. Szkoły są zbudowane według najlepszych wzorów europejskich; są to raczej pałacyki wśród zieleni z drzew i gajów. Liczba dzienników i wydawnictw peryodycznych dochodziła w r. 1885 pokaźnej cyfry 321. Przemysł japoński również szybko się rozwija i poczyna na poblizkich rynkach współzawodniczyć z angielskim. Wreszcie w bieżącym roku ogłoszono konstytucyę. Jest ona ukształtowana według niemieckiej. Izba panów w jednej trzeciej części dziedziczna, w drugiej wybieralna i w trzeciej mianowana przez mikada. Izba gmin, składająca się z 300 przedstawicieli, wychodzi z wyboru. Konstytucya zapewnia swobodę religii i słowa, oraz prawo stowarzyszeń. Sędziowie są nieodwołalni. Tych kilka faktów zupełnie wystarcza dla wykazania, że Japonia prędzej lub później, lecz zawsze w niedalekim czasie zajmie wydatne miejsce wśród społeczeństw przodujących. W tym razie okazała się ona daleko wyższą od Chin, które skostniały w tradycyi. Być może, należy to przypisać temu, że ludność kraju w znacznej mierze składa się z krwi cudzoziemskiej.

WYNALAZKI.

Nowe zastosowanie gipsu. W czasie upałów lata, powietrze w oborach zanieczyszczają wyziewy amoniakalne, wywiązujące się z gnoju, który pozbawiają głównego elementu użyźniającego rolę — azotu.

Gnój, pozostawiony na otwartem powietrzu, również traci część soli azotnych, jakie w sobie zawiera. Stratę stąd ponoszoną przez rolnika, oceniają w ciągu jednego roku z jednego bydlęcia, na 100 kilogramów w azotanie sody, co przedstawia wartość 25 do 30 franków.

Gips, będący siarczanem wapna, pochłania 60% węglanu amoniaku, wywiązującego się z gnoju, i daje jeszcze tę korzyść, że czyni go bezwonnym nawet podczas najgorętszych upałów.

Zaobserwowano przytem, że w gnoju sole amoniakalne w ten sposób traktowane, przetwarzają się na kwas azotny, w której to postaci azot jest chciwie absorbowanym przez rośliny.

Rolnicy powinni więc opruszać gipsem gnoje, gdyż w ten sposób odnawiają je i najskuteczniej zabezpieczają od ulatniania się azotu, z którego użytkują rośliny.

Najlepszy nawóz z kości. Jak wiadomo kości przyczyniają się wielce do użyźnienia ziemi; otóż potrzeba wiedzieć, jakiej należy poddać je operacyi, aby najskuteczniej posłużyły do tego użytku. Wyborny proces w tej mierze podaje jedno z francuskich pism rolniczych; zasadza się on na rozpuszczeniu kości świeżych i przetworzeniu ich w nawóz pyłkowy.

W tym celu po utłuczeniu kości zsypuje się je na ziemię twardą i otacza wytworzony z nich stos popiołem; następnie skrapia się to wszystko wodą w tym stopniu, aby kości były dobrze nią zmoczone. Na taki stos wylewa się kwas siarczany w stosunku 40%, odnośnie do wagi kości, czyli że potrzeba użyć 40 kilogramów kości. Następuje wówczas silne wzburzenie, po ustaniu którego miesza się popiół z masą za pomocą łopatki. Dla szybszego osuszenia tego przetworu, należy dodać gipsu lub popiołu. (Tylko który rolnik będzie to wszystko robił? *Red.*).

Lucyżen. Hannay i Lyle wynaleźli nowy przyrząd oświetlający nazwany przez nich *Lucyżenem*, oparty na użyciu olejów ciężkich, spyłkowanych przez prąd powietrza; przyrząd ten może również służyć do ogrzewania. Olej ciężki pomieszczą się w zbiorniku, do którego powietrze napływa pod ciśnieniem 1 do 1,5 kilogramów. W skutek ciśnienia olej wznosi się w rurze i dochodzi do górnej części palnika. Powietrze pod wpływem ciśnienia przepływa około rurki, dostaje się do górnej części przyrządu, ogrzewa się tam i schodząc niżej łączy w rurce z olejem ciężkim, który pyłkuje. Obok właściwego palnika urządzonym jest mały, z knotem zasilanym olejem; przeznaczeniem tego ostatniego palnika jest bezzwłoczne rozpalenie światła, w razie gdy płomień zaczyna gasnąć.

Płomień lucyżenu jest szerokim, jasnym, pięknej, żółtej barwy; dla lamp, których światło ma wyrównywać dwom tysiącom świec jarzących, powinien mieć długości około 70 centymetrów.

Objętość płomienia znosi zupełnie cień zbyt rozległy i stanowi to jego wyższość nad światłem elektrycznem. Jedyną w nim wadą jest szelest, jaki wydaje, lecz ta niewiele waży w zastosowaniu tego światła na otwartem powietrzu.

Deszcz i wiatr nie wywierają żadnego zgoła wpływu na płomień.

Lampy lucyżenowe powinny być pomieszczane w rozmaitej wysokości, odpowiednio do powierzchni jaką oświetlać mają.

Powietrze może być ścieśnianem za pomocą prostej pompy ręcznej i ta wystarcza do zasilania dwóch lamp, z których każda wyrównywa światłu 500 świec jarzących; gdy chodzi o silniejsze światło potrzeba użyć motoru parowego lub innego.

Lampa o świetle 2,000 świec jarzących zużywa na godzinę 7 do 8 litrów oleju smołowego, którego cena obecnie dochodzi 5 franków za kilogram, czyli koszt oświetlenia można obliczać na 40 franków na godzinę.

Przyrząd ten powinien oddać wielkie usługi w oświetletlaniu ekonomicznem fabryk, przystani, dziedzińców, pracowni i wogóle zakładów dla których szelest światła nie stanowi niedogodności.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

Z NIEMIEC.

22 lipca.

Usenera *Religionsgeschichtliche Untersuchungen.* —Nowe utwory epiczne: Rehburga *Konrad*; Cöllna *König Harald Blauzahn*; Mitzeniusa *Johannes.* — Werdera *Fee* — Wald-Zedwitza *Sybillen's Erd.* — Bergera *Schloss Hartenfels.* — Literatura sezonu kąpielowego: nowele Harta, Freyenstelna, Rudorffa, Elizy Polko; Lucifera *Kometenbriefe*; Weissa *Leichte Reizungen* i *Skizzen aus dem Tollhause des Lebens.*

H. Usener, uznany od dawna jako uczony filolog, wystąpił z gruntowną i wielce zajmującą pracą na polu porównawczej nauki religij. Zapewnia on teologów prawowiernych, że badania jego bynajmniej nie są zdolne podkopać wiary kościelnej. Zapomina jednak, że dla pobożnych religia a wiara dogmatyczna są całością jedną, niepodzielną i że „skała“ kruszy się, skoro badania historyczne i źródłowe rozrywają cały wieniec legend, wykazując, że spleciono go z gałązek, które wyrosły na drzewie pogaństwa. Usener, wykazawszy, jak powstały te legendy i jakie ich znaczenie, żąda dla nich tej samej czci, jaką otoczono dogmat, sądzi bowiem, że prawdziwa legenda jest niemniej czystą i świętą, niż uczucie religijne, którego jest kwiatem. Wykazuje on powstanie i przemiany tekstu ewangelij, dowodząc, że jeszcze w drugiem stuleciu treść ich i forma nie były ustalone. Uprawnienia krytyki swej broni (na str. 186) słowami następującemi: „Nie znam religii, w którejby obfitość pomników i tradycyj pozwalała zbadać tak dokładnie jej rozwój, jak w religii chrześciańskiej... Kto oczu swych nie zamyka, ten wszędzie znajduje świadków przemawiających jasno. Ale należy szukać ich, zapytywać, używać. Tego właśnie nie chcą ci, którzy głosząc hymny pochwalne na cześć krytyki, powiadają tym samym tchem, łącznie z chórem historyków i filologów: ale strzeż się śmiałości naruszania rzeczy, które pozostają w związku z wiarą; strzeż się głupstwa zwalczania powszechnej opinii, przekazanej przez czasy minione, strzeż się bezczelności polemizowania z nauką Ojców, z wyrokami koncyliów i papieży. Oto jest krytyka, która niegdyś broniła prawdziwości darowizny Konstantyna, obalała autentyczność listów Elypcyana i Firmiliana o papieżu Stefanie, a która dziś jeszcze reformacyę przedstawia jako dzieło piekła, a panowanie papieża nad światem jako raj na ziemi... Tam, gdzie wiedzieć można, byłoby rzeczą niemoralną poprzestać na wierzeniu i przypuszczeniu.“

Przyjaciołom poezyi epicznej polecić możemy trzy utwory, wybrane z długiego rzędu rymowanych i nierymowanych opowieści, które pojawiły się w ostatnich miesiącach. E. Rehburg osnuł swój utwór na czasach Reformacyi. Konrad, bohater, jest mnichem, który opuściwszy klasztor, szczęśliwie dobija do portu małżeństwa. Losy jego przeplata autor przedstawieniem równoczesnych zdarzeń historycznych, uświetniając postacie bohaterów Reformacyi. Utwór ten, napisany nie bez talentu, traci wiele wskutek nużącego pięciomiarowego wiersza białego.

Wdzięczniej zastosował wiersze Nibelungów E. Cölln w opowieści z dziesiątego stulecia *König Harald Blauzahn.* Cölln włada nim z wielką rutyną. „Król Harald“ zdradza sumienne studya historyczne, z których talent poety skorzystał, uplastyczniając opisy. Feliks Dahn, znakomity znawca czasów odnośnych, a przytem sam poeta, wyraża się o „Królu Haraldzie, że jest to poemat niepospolity, pełen niezwykłych piękności pod względem treści i formy.

Utwór Mitzeniusa, osnuty na tle stosunków dzisiejszych, możnaby nazwać sielanką, w rodzaju „Luizy“ Vossa, a bardziej jeszcze w rodzaju „Siedemdziesiątej rocznicy urodzin“ tegoż poety. Johannes, kandydat teologii, który przepadł przy egzaminie, wybornem kazaniem uspakaja gniew swego ojca, a wreszcie znajduje uosobienie cnót i wdzięków kobiecych w Fryderyce, którą co prędzej wiedzie do ołtarza. Poemat ten, nieporuszający żadnych doniosłejszych zagadnień współczesnych, napisany jest wdzięcznie, ale mógł być napisanym przed pięćdziesięciu laty.

Według dawnej mody osnute też są powieści, o których pomówić nam wypada. Zręcznie ułożył Hans Werder akcyę swej *Fee*, przemawiającej bardziej do uczucia, aniżeli do wyobraźni. *Fee* jest nową formą owej znanej postaci powieściowej, pełnej wdzięku a ukrywającej w sobie zarodki suchot. Życie jej upływa w domu inwalidów, którego komendantem jest pułkownik Gravenhorst, ojciec jej. Kocha ona człowieka, który przed laty zdemaskował go jej jako szulera. Umierając, wymusza pułkownik Gravenhorst na córce swej przysięgę, że nigdy nie zostanie żoną owego człowieka. Przyrzekłszy, Fee zapada na suchoty i umiera, podobnie jak kiedyś matka, od której chorobę swą odziedziczyła. Autor pozwala się domyślać, że całe postępowanie bohaterki było wpływem chorobliwego jej nastroju, atoli motyw ten nie jest wyzyskanym należycie.

Do jakiej kategoryi należy nowa powieść E. Wald-Zedwitza „Przysięga Sybilli,“ łatwo poznać po wstępnych słowach: „Obraz olejny ponad kwiecistą kanapą niebieskiej komnaty w zamku Falkenburg jasno był oświetlony przez słońce zachodzące. Zdala widziano tylko wielką, połyskującą jego powierzchnię, lecz zbliżywszy się, poznawano głowę kobiecą o kształcie najszlachetniejszym. Przepyszne rysy! Ponad czołem wysokiem, wypukłem, piętrzyły się włosy czarne, faliste, lekko pudrem obsypane.

Sznury pereł przewijały się przez nie; nos i usta pięknie były skrojone... Pani ta uśmiechała się chłodno, ciemne jej oczy demoniczne na świat spoglądały... W świetle dziennem lica kobiety tej były blade, lecz wieczorem, kiedy w kominie drzewo płonęło, wówczas migające odblaski ożywiały tę twarz; oczy błyszczały, zdawało się, że usta poruszają się i szepczą coś zcicha. Obraz ten nazwano „kotem."

Tradycya powiązała obraz ten z losem rodziny Bärwaldów, zamieszkującej zamek Falkenburg. Pozostaje on wprawdzie biernym przez cały ciąg akcyi, tem czynniejszą atoli jest panna Sybilla de Sendeck, siostrzenica sąsiada Bärwaldów, barona Schöndorn. Kobieta demoniczna, pełna ambicyi, odznacza się dziwnem podobieństwem do owej damy w zamku falkenburskim; przepowiednia legendy spełnia się też o tyle, że żyjąca ta podobizna „kota" staje się powodem ruiny Bärwaldów i upadku Falkenburga. Romantyzm, przejawiający się w takiem poprowadzeniu akcyi, bynajmniej jednak nie cechuje całej powieści. Autor kreśli sytuacye nawskroś nowoczesne, charaktery realne, a jako tła używa wojny francusko niemieckiej. Obok Sybilli, która walcząc o pozycyę, wpływ i znaczenie, w oryginalny i zajmujący sposób reprezentuje karyerowiczostwo kobiece, znajdujemy tu znane niemieckie typy literackie: rozumną, zacną, spokojną, prawdolubną kobietę (hrabinę Oldenkamp), niewinne, roztrzepane dziewczę (Blankę Bärwald), biednego a wiecznie zakochanego porucznika (Felsinga), wreszcie wymownego salonowego filozofa (dr. Hissen). Figurami temi operuje autor wcale zręcznie i niezawodnie zaskarbił sobie wdzięczność i uznanie wszystkich dobrodusznych czytelników powieści familijnej, urządzając przy końcu mały sądny dzień dla swych postaci: pokrzywdzeni dochodzą do praw swych, a źli, kłamliwi i nikczemni przepadają marnie. Nie możemy pominąć milczeniem pewnej właściwości nowego tego utworu Wald-Zedwitza, tem bardziej, że występuje ona w najnowszych czasach i u innych modnych autorów niemieckich. Jest to mylne, niezręczne i niesmaczne zastosowanie prawideł techniki realistycznej w opisach. I tak Wald-Zedwitz, opisując bitwę podczas wojny niemiecko-francuskiej, używa następujących drastycznych sposobów: „Buuuummmm-buuummm-buuumm — tam i nazad. Zsz-zsz-zsz-zsz krak-krak-bumm. Kule żelazne przerzynają powietrze nakształt ptaków drapieżnych. Mruczenie drobnego kalibru wzmaga się coraz bardziej, knak-knak-knak-wrrrrr-wrrrrr-rummm-buuummm — piekło rozwarło swą paszczę." I to ma być plastyka, środek artystyczny! Uśmiechamy się, spotykając podobny brak smaku u powieściopisarza, którego utwory parę lat tylko żyć mają, ale zdumiewa on u poety tej miary, co Adolf Wilbrandt, który ogłoszony niedawno w wiedeńskiej *Neue fr. Presse* poemacik „Ptaki" wypełnił do połowy niby-naturalistycznymi głosami ptaków, czyniącymi wprost barbarzyńskie na papierze wrażenie.

„Zamek Hartenfels," powieść M. Bergera (S. Folleniusa) przedstawia walkę dwóch przeciwnych sobie charakterów kobiecych. Baronowa Erna, druga żona starego właściciela dóbr, zakopanego w prochu swej biblioteki, jest kobietą światową, rozmiłowaną w życiu salonowem, podczas gdy pasierbica jej, Karolina, istota głębsza i poważniejsza, łączy w sobie cnoty istotne. Obie walczą i obie dochodzą wreszcie do celu upragnionego: Erna świetnością występowania i marnotrawstwem, pochłaniającem fortunę barona i córki jego, Karolina zaś poświęceniem samarytańskiem, które „nie w tym świecie nagrodę zyskuje."

Nieprzejrzaną iście jest ilość książek lekkich, pojawiających się w Niemczech podczas sezonu kąpielowego, stanowiących literaturę pociągów pospiesznych. Swego czasu użalał się Gutzkow w liście do przyjaciela, że recenzent stutgarckiego *Morgenblattu* ocenił dziesięciotomową powieść jego *Ritter vom Geiste*, przeczytawszy ją w karecie pocztowej podczas podróży z Frankfurtu do Eisenach. „Pomyśl pan sobie: ten człowiek po dniu jednym chce wydać sąd o dziele, nad którem pracowałem rok przeszło!.." Dziś nawet w Niemczech powieść kilkutomowa wychodzi z mody i coraz bardziej przyzwyczajają się autorowie niemieccy do małego tomiku, używanego u anglików i francuzów. Zwłaszcza podczas sezonu letniego nakładcy surowo przestrzegają tej reguły, zalecając zarazem autorom wypróżnianie swych tek humorystycznych. Juliusz Hart, który o innych porach roku występuje jako powieściopisarz poważniejszy i uwagi godny, ogłasza „Pięć nowel," w których nie zapomina o realizmie, aczkolwiek nowele te najwidoczniej przeznaczone są dla turystów i gości kąpielowych. Cechuje go zdolność wywoływania nastroju zgodnego z tematami jego nowel. Hart nauczył się tej sztuki snać u Jana Pawła Rychtera, popada bowiem w przesadę właściwą temu pisarzowi, naciągając każdą chmurkę, każdy promień, każdą gałązkę i kamień każdy dla celów owej „Stimmung," za którą goni. W zbiorze nowel Bachema pojawiły się dwa tomiki, „Dativ," H. Freyensteina i Rudorffa „U stóp tronu." Dativ, to oryginalne bądź co bądź imię bohatera nowelki, w której umierają wszyscy, wyjąwszy parę kochanków; lecz i ta para cudem tylko uchodzi przed śmiercią podczas katastrofy w Ringtheatrze. Nowela Rudorffa nie zawiera efektów tak gwałtowych, przewyższa natomiast poprzednią stylem niezwykle wykończonym. Eliza Polko ogłasza świeżą nowelkę z kół artystycznych p. t. „Dziesiąta symfonia"; znaną jest jej maniera, której pono nigdy już się nie pozbędzie.

Humorystycznemi mają być Lucifera *Kometenbriefe*. Są to fantazye w guście Juliusza Vernego; atoli brak im owej siły plastycznej i dramatycznej, która najniemożliwsze sytuacye chwilowo czyni prawdopodobnemi. Tam zaś, gdzie autor pragnie być satyrycznym, staje się płytkim i nudnym. O wiele więcej sprytu i humoru zdradza Julian Weiss w dwóch zbiorkach szkiców fejletonowych, które sam zwie „humoreskami" i „satyrami." Nie wolno do „satyr" tych przykładać miary poważniejszej, głównym ich środkiem a pono i celem są kalembury. W ten sposób wyzyskuje Weiss między innemi Towarzystwo pesymistów. Zapalczywego pesymistę, który w porywie gniewu ciska na towarzysza szklanicą z piwem (Schoppen) nazywa Weiss „Schopenhauerem," najmłodszego zaś członka grona tego przezwali towarzysze „Pessimistbub." W ostatnim rozdziele pierwszego swego zbiorku (*Leichte Reizungen*) zamieszcza Weiss pod tytułem *Kleine Pfeile* rzeczy wcale udatnych epigramów, z których wyjmujemy następujący:

Poeta:

Ich habe Nächte durchgewacht *)
Als ich dies Buch für euch gemacht.

Czytelnicy:

Drum sind wir schläfrig wohl gewesen
Als wir versucht, dies Bush zu lesen.

*) Nie spałem po nacach
Pisząc dla was tę książkę.
Dlatego my zasypialiśmy
Usiłując książkę tę przeczytać.

Ladawa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Dom dla szkoły rzemiosł. — Dr. Jełowiecki. — Lekarz chłopski. — Praktyczne rozwiązanie splątanego węzła. — Pokątni doradcy medycyny. — Potrzeba ograniczeń prawnych. — Głos znawcy. — Rabin, który za długo czytał. — Rozszerzony przywilej do Ameryki. — Pękające lokomotywy na kolei Nadwiślańskiej. — Cztery ofiary oszczędności. — Roczny obrachunek Spółki owocarskiej. — Dojrzałość jej uczestników. — Teorya szlacheckiej ofiarności. — Zagadka ekonomiczna.

Po uroczystościach teatralnych, wyścigowych, strzelckich, okurzony pyłem błahostek umysł obserwatora społecznego z rozkoszą oddycha wobec faktów, które stają się poważnemi ścięgnami naszego życia. Rok bieżący zapisze kilka tego rodzaju nabytków. Niedawno bracia Lanvalowie założyli dom przytułku i pracy dla dzieci po robotnikach; teraz Szkoła rzemiosł zyskała własną siedzibę. Mieszcząc się dotąd w lokalach najętych i odpowiednio nieurządzonych, nie mogła ona należycie się rozwinąć zwłaszcza w swych warsztatach. Obecnie, dzięki szlachetnemu zasiłkowi ludzi o dobro publiczne dbałych i możnych, posiada dom własny. Po zapisach Rapackiej i innych, ostatecznie przyczynił się do wzniesienia go swoją hojną ofiarą (14,000 rs.) dr. Jełowicki. Czytelnicy *Prawdy* spotykali w niej wielokrotnie szczodrą a bezimienną rękę, ukrywającą się pod literami *J. z S.* Z ręki tej przepłynęły przez naszą redakcyę znaczne sumy na rozmaite cele dobroczynne, zwłaszcza zaś na „Szkołę rzemiosł przy ulicy Jasnej." Nie odsłanialiśmy nazwiska ofiarodawcy, gdyż tajemnicę wyraźnie sobie zastrzegł; ponieważ wszakże teraz je w pismach wymieniono, więc i my zostaliśmy zwolnieni od dalszego podtrzymywania maski. Dr. Jełowicki mieszka w Syberyi (na granicy Chin) i stamtąd nadsyła swoje dary. Ich wysokość świadczy, że szanowny filantrop pomimo oddalenia głęboko odczuwa potrzeby swego kraju, ich zaś przeznaczenia — że te potrzeby doskonale zna i wyróżniać umie. Za 14,000 rs. byłby zaledwie jeden „Ruler" lub „Count-Grabowski," a ileż za te pieniądze splynie dobra na ogół, zwłaszcza w epoce, kiedy nawet „wyższe klasy" przestały marzyć o „urzędach" dla swych synów i kształcą ich na ślusarzów i stolarzów.

Jeszcze przemiana gatunków społecznych w tym kierunku odbywa się u nas bardzo powoli, ale niewątpliwie. Ktoby nas poznał przed ćwierć wiekiem i zobaczył dziś, zdumiałby się dokonaną demokratyzacyą. Czy było np. wówczas możliwem coś podobnego? Kilku ziemian (szlacheckiego rodu) w gubernii płockiej sprowadziło dla swych chłopów stałego lekarza, któremu zapewnili pensyę. Ale młody doktór tak zyskał wziętość i zaufanie u bliższego i dalszego ludu, że mógł się zrzec zapomogi ze strony dworów. Objeżdża on stale wsie w pewnych dniach i pobiera tylko 10 kop. za wizytę, a tak się zżył z wieśniakami, tak ich sobie zjednał, że nazywają go „swoim" dla odróżnienia od „pańskich." W tym — o ile wiadomo — jedynym wypadku, mamy doskonałe rozstrzygnięcie splątanej sprawy lecznictwa na prowincyi. Zachęceni do tego pola działalności młodzi lekarze dla usprawiedliwienia swych do niego wstrętów, przytaczają głównie dwa argumenty: niechęć i niewiarę ludu do medycyny naukowej, oraz wrogie dla niej i niegodziwe szalbierstwo felczerów. Oba te fakty nie ulegają istotnie żadnej wątpliwości. Chłop nasz jest ciemny, naukę i życie mało sobie waży, wydatku skąpi, od lekarza wymaga władzy cudotwórczej i skuteczności natychmiastowej, oporu w nim nie pokona logiczne ro-

zumowanie, ale pokonają go rozmaite sztuki i matactwa, w których mistrzami są felczerzy. Powtarza się tu to samo zjawisko, co w sferze sądów. Jak tam adwokata wypiera z zaufania ludu pokątny doradca prawa, tak tu wypiera lekarza pokątny doradca medycyny. A jak tam niewiele pomogły smutne doświadczenia, nauki książeczek popularnych i tym podobne wpływy moralne, tak też i tu ustawodawstwo musi wkroczyć ze swoją siłą tamującą nadużycia. Mają być wkrótce wydane przepisy, ograniczające pokątnych doradców prawa, takież same hamulce są potrzebne dla pokątnych doradców medycyny. Z bardzo nielicznymi wyjątkami felczer jest pasorzytem ludu, pasorzytem strasznym, bo niszczącym i zabójczym. Podejmuje on się wyleczenia wszelkiej choroby, którą prawie zawsze swem partactwem pogarsza; zadawalając się pozornie małem wynagrodzeniem, w rzeczywistości wysysa ze swych ofiar daleko większe, niżby kosztowala porada lekarska, a przytem utrwala ciemnotę. Ktoś nie bez pewnej słuszności powiedział, że więcej ludzi kosztowała Afrykę dzika religia, zachowująca morderstwa obrzędowe, niż handel niewolnikami. Do takich okrwawionych bożyszcz należą u nas znachor i felczer. Człowiek ukształcony i niemający bezpośredniego zetknięcia z życiem na nizkich jego poziomach, nie może wyobrazić sobie, jak bezmierną jest na nich łatwowierność prostaczków. Jeżeli więc w ten bezmiar puści się zła wola i zręczność, mogą one w nim dokonywać okropnych zniszczeń. Gdyby zaś chłopa naszego oplatały tylko dwa węże, pokątny doradca i felczer-znachor, jużby on cierpiał męki Laokoona. A tych płazów jest więcej.

Wyjątkowych przymiotów umysłu i charakteru nie można stawiać za regułę i dlatego w sprawie leczenia ludu chętnie widzielibyśmy opiekę ustawodawczą. Ale z drugiej strony nie należy wyłącznie na niej się opierać. Zarówno przytoczony wyżej przykład, jak i inne objawy świadczą, że medycyna może zdobywać sobie pole szlachetnej i korzystnej pracy po wsiach. Ktoś, znający stosunki tego rodzaju w guberniach grodzieńskiej, wileńskiej i mińskiej, opowiada (w *Kuryerze codziennym*), że tam często w promieniu trzechmilowym niema ani lekarza, ani apteki, że włościanie leczą się bardzo chętnie, że na jednego lekarza przypadłoby około 15,000 ludności, że jego miejsce zwykle zastępuje felczer, który zawiera z chłopami roczne umowy, przynoszące mu nieraz po kilka tysięcy rubli dochodu. „W dużych miastach — mówi autor tego głosu — lekarzy osiedla się zbyt wielu, a zanim jeden z nich wywalczy sobie egzystencyę, kilku lub kilkunastu pasuje się z niedostatkiem. Tego wszystkiego możnaby uniknąć, a nadto zyskać wdzięczne pole do pracy dla ludzkości cierpiącej, co powinno być każdego lekarza zadaniem. Praca ta nareszcie by się opłaciła... A czego potrzeba? Oto zniżyć się do poziomu umysłowego maluczkich i na razie uczynić ustępstwo na rzecz ich przyzwyczajeń. Wszak to niewiele, tem bardziej zaś, iż w niedalekiej przyszłości, gdy włościanie poznają bliżej błogie skutki racyonalnej pomocy lekarskiej, środków owych więcej używać nie będzie potrzeba.“

Dla kilku lekarzy zawakowała posada po rabinie w pewnem mieście pod Wilnem. Według doniesienia *Kuryera warszawskiego*, od lat wielu sprawiał tam cuda, do których naturalnie należało i leczenie, pewien cadyk, używający wielkiej sławy w okolicznym Izraelu. Między innemi czynnościami był on dla swych współwierców rodzajem założycieli dynastyi Rotschildów — przechowywał ich kapitały. Ile razy świątobliwy mędrzec pogrążył się w nabożnych rozmyślaniach i nie chciał nikogo widzieć, wywieszał na drzwiach swego mieszkania kartkę z napisem: „czyta.“ Pewnego dnia wszakże interesanci, wielokrotnie już odprawieni tem ostrzeżeniem, przyszli do wniosku, że rabin jakoś za długo „czyta“; dostali się więc do wnętrza domu i zobaczyli, że czcigodny rebe nie czyta, ale czmycha, zabrawszy z sobą 30,000 rs. depozytów. Powstał gwałt i sypanie soli na ogon uciekającego lisa, który już może płynie do Ameryki. Bądź co bądź, jest to wypadek niezwykły, a świadczy o szerokiem rozpostarciu się zgnilizny moralnej. Mniemano dotąd, że tego rodzaju nagłe podróże do Ameryki są przywilejem kantorowiczów; teraz popełniłby bezmyślną przesadę każdy, ktoby ich wyłącznie obciążał tym grzechem po znanych ekonomistach i świątobliwych rabinach.

Jak ów rabin ciągle czytał, tak kolej Nadwiślańska „oszczędzała,“ aż wreszcie doprowadziła do tego, że na jej oszczędnościach czterej ludzie stracili życie lub zostali kalekami. Niedawno między Konopkami a Mławą na zdezelowanej lokomotywie para oderwała klapę bezpieczeństwa i tak poparzyła maszynistę oraz jego pomocnika, że ostatni zmarł, pierwszy zaś leży bez nadziei życia. Przed kilku dniami powtórzyło się to samo na stacyi Praga i znowu maszynista z pomocnikiem, śmiertelnie pokaleczeni, umarli. Niema może w Warszawie ani jednego pisma, któreby nic przepowiadało smutnych następstw „oszczędnej“ gospodarki. Łatwe te wróżby zaczynają się sprawdzać okropnie. Wiemy z góry, że przy tłomaczeniu się w śledztwie drapieżny kot będzie wykręcony ogonem, że zarząd zwali winę na nieostrożność maszynistów, na fuszerkę fabryki lokomotyw, na przypadek, wreszcie na wszystkich świętych, tylko nie na swój system, który pozwala narażać życie publiczności i pracowników dla osiągnięcia najwyższej sumy dochodu. Ale nikt bezstronny wykrętami odurzyć się nie da i pozostanie przy tej prostej logice, doskonale tłomaczącej katastrofy, że przez sknerstwo lokomotywy nie są utrzymywane w należytym stanie i rozpadają się pod naciskiem pary. Dzięki temu sknerstwu czterej ludzie zginęli, cztery rodziny unieszczęśliwione, mamy nadzieję, że z mogił i niedoli wyrosną cztery procesy, w których sądy zmuszą kolej przynajmniej do materyalnego wynagrodzenia strat pokrzywdzonym. Jeżeli prawodawstwo ubezpieczyło pracowników od nieszczęśliwych wypadków z winy przedsiębiorców, to nigdzie może jego opieka nie może być lepiej zastosowaną, jak na kolei Nadwiślańskiej, gdzie w ciągu kilku tygodni zdarzyły się dwa wybuchy starych maszyn.

Z trudem zawiązana Spółka owocowa zamknęła pierwszy rok swego istnienia bardzo niepomyślnym wynikiem. Na 5,550 rs. kapitału zakładowego było strat 2,210. Ale „kto cierpliwy i sprawiedliwy — powiada p. Jankowski w *Ogrodniku polskim* — ten, zanim rzuci kamieniem na zarząd, zapewne zechce wysłuchać, jakie były powody tego pierwszego niepowodzenia.“ Naprzód — brak doświadczonego kupca między kierownikami, powtóre — nierozumienie własnego interesu i nieudolność właścicieli sadów na prowincyi, którzy przenoszą starą rutynę z dzierżawami żydowskiemi nad nowy, choć zyskowniejszy ale nieco kłopotliwszy stosunek. Ci, co go zawiązali, przysyłali towar nieodpowiedni, przez złe opakowanie zniszczony, wreszcie inny, niż przedstawiano próby. Na tem wszystkiem i na innych uchybieniach handlowych Spółka traciła. Ale jej uczestnicy dali dowód rzadkiej u nas dojrzałości: zamiast cofnąć swe zaufanie do zarządu i rozlecieć się z krzykiem na wszystkie strony, zapełnili dopłatami szczerby, uznali niepowodzenia za naturalne i postanowili działać dalej. Była to uchwała obywatelska i rozumna, sięgająca wzrokiem nieco dalej, niż pozwala prosta rachuba, że grosz powinien przez rok porosnąć przynajmniej półgroszem. Spółka owocowa ma racyę bytu, a zdobyte doświadczenie i rozszerzające się zwolna uznanie śród właścicieli ogrodów zapewnią jej wkrótce trwałą podstawę.

Kto chce wszakże obejrzeć idealne wzory wytrwałości, ten niech ich szuka w sferze szlachty. Z prawdziwem rozrzewnieniem i zupełną wiarą przeczytałem w korespondencyi z Wilna do *Gazety warszawskiej* te wyrazy: „Żeby dać wam pojęcie, jak częstokroć jest *ofiarnem* ze strony właściciela ziemianina trzymanie się gleby, *dość powiedzieć*, że w *większej części* wypadków nie pierwej przystępujemy do sprzedaży, aż póki dochód nie zniży się do tego stopnia, iż nietylko już ani grosza nie wpływa do kieszeni, ale jeszcze z kieszeni dokładać potrzeba na utrzymanie folwarku.“ Zdaje mi się wszakże, że dla dowiedzenia tej „ofiarności“ nie „dość powiedzieć,“ iż tak jest „w większej części wypadków,“ potrzebaby może jeszcze przekonać, gdyż zwykle słyszymy inaczej. Powtóre, dlaczego ów „dochód się zniża?“ Czy to jest wynik pracy gospodarczej, czy też taki figlarz, który raz wstaje i sięga głową pod niebo a potem bez przyczyny przykuca do ziemi? Może go trzeba karmić nakładem? Ależ kieszeń, która ma na „ofiarność,“ powinna mieć na zasiłki gospodarcze. Dziwna w tej „ofiarności“ kryje się zagadka ekonomiczna. Korespondent ilustruje teoryę poświęceń szlacheckich faktem, że spadkobierczyni majątku E. Odyńca „*zmuszona jest* zrealizować wartość folwarku na gotówkę dla ocalenia czegobądź, gdyż on nietylko *nic* nie daje, ale może nadejść chwila, gdy po zrujnowaniu zupełnem budowli i wycieńczeniu całkowitem gleby, straci wszelką wartość.“ A dlaczegoż folwark ten „*nic* nie daje?“ Jest tam przecie 16 włók „dobrej ziemi,“ 300 wozów siana, „pozycya wodna nadająca się do założenia nawet wielkiego młyna?“ Dlaczego właścicielka *musi* go sprzedać, zwłaszcza że długu bankowego (taniego) ma 5,000 rs., żydzi ofiarują 2,000 rs. za las, a chłopi za kawał ziemi, „która nic nie daje“ — 2,000 rs.? Gdzie tu właściwie tkwi przyczyna „ofiarności“ i „mus?“

Szanowni panowie, sprzedajcie już swoje folwarki, kiedy i komu chcecie, tylko na litość nie mówcie nam o swem poświęceniu i nie usiłujcie nas niem rozrzewnić. Prowadzicie naprzód lichą gospodarkę, a potem najzwyklejszy handel i chcecie, ażebyśmy wam jedno i drugie poczytywali za bohaterstwo. Jak na obecny czas, są to drwiny zbyt grube. Jeżeli mniemacie, że są dziś ludzie, którym można wytłomaczyć, że 16 włók dobrej ziemi z lasem, rzeką i łanami nie wyżywi jednej „dziedziczki,“ to chyba tych ludzi znajdziecie jeszcze u mamek.

Poseł Prawdy.

PRASA RUSKA.

Sław. Izwiestia, zastanawiając się nad głośnym faktem ciężkiego pobicia ucznia przez nauczyciela w Jaryszewie (w Poznańskiem), piszą:

„Oskarżony, jak się sam przyznał, nie rozumie ani słowa po polsku i uczy dzieci polskie, nierozumiejące ze swej strony ani słowa po niemiecku. *Herr* Weimann posiłkował się tedy mimiką, tj. wskazywał dzieciom przedmioty, nazywał je po niemiecku i kazał malcom powtarzać nazwy dotąd, dopóki ich nie spamiętali. Inspektor, pastor Münzel, oświadczył, że podsądny otrzyma nagrodę za dobre postępy uczniów w języku niemieckim, lecz przed sądem żaden z uczniów nie umiał odpowiadać po niemiecku. W sądzie wyjaśniło się dalej, że nauczyciel nie po raz pierwszy oskarżony był o nieludzkie postępowanie z dziećmi. Trzy razy otrzymał on naganę swej władzy, w r. 1887 skazany był na 30 marek, a nawet zagrożono mu procesem dyscyplinarnym. Wówczas to p. Weimann, aby

uniknąć kosztów procesu, polecił przepisać swój majątek na imię czteroletniej swej córki! Przysięgli uznali Weimanna za winnego nadużycia władzy, lecz zarazem za zasługującego na pobłażanie (?!) i sąd skazał go na rok więzienia. Jak tanio oceniają niemcy życie dziecka słowiańskiego! Czy na taką samą karę byłby skazany morderca, gdyby ofiarą był niemiec?

W procesie tym rysuje się przed nami w całej swej nagości obraz szkoły poznańskiej. Nauczyciel niemiec, nieumiejący ani słowa po polsku i uczący dzieci polskie za pomocą mimiki, niemniej otrzymuje nagrody za ich jakoby dobre postępy w nauce. Prawdziwy kat dzieci, kilkakrotnie notowany z powodu swej nieludzkości, zostaje mimo to na swojem miejscu; pastor, składający świadectwo, o „dobrych postępach“ uczniów, doktor, wymyślający jakąś chorobę dziecka, w celu uchronienia mordercy od kary — wszystko to stanowi taką kolekcyę, o której trudno w innem nawet „mniej ucywilizowanem“ społeczeństwie.“

KRONIKA BIEŻĄCA.

Praw. Wiestnik donosi o zatwierdzeniu 7-ej emisyi monety miedzianej na sumę 3 milionów rs, licząc po 50 rs. na pud.

Nowa instytucya naczelników ziemskich, utworzona dla gubernij Cesarstwa, zaliczona została według rangi do VI klasy. Naczelnicy ci pobierać będą roczn ej pensyi po 2,500 rs.

Uzupełnienie taryf pocztowych zostało ogłoszone w *Praw. Wiest.*: „Dodatki nadzwyczajne do pism peryodycznych (premia), mające wymiary od 10 do 20 werszków, mogą być oddawane na pocztę dla przesyłania wewnątrz państwa przy gazetach i wogóle pismach peryodycznych. Za przesyłkę pobiera się: wewnątrz miasta po 10 kop. za wagę od 1 funta; zewnątrz po kop. 25 za 1 funt i po 4 kop. za każde 4 łuty przewyżki.“

Rozszerzenie dozoru. Zarząd inspekcyi fabrycznej zamierza wkrótce rozciągnąć swą działalność i na warsztaty rzemieślnicze, stosując do nich wszystkie istniejące przepisy dla fabryk o uczęszczaniu małoletnich najmitów do szkół. Projekt ten w swojem rozwinięciu ma opodatkować właścicieli warsztatów, trzymających więcej, niż trzech terminatorów, a to dla przysporzenia funduszu na specyalne szkoły wieczorne dla terminatorów.

Odczytane będą pomiędzy innemi następujące prace na przyszłym zjeździe we Lwowie (d. 12 września r. b.) prawników i ekonomistów polskich: Włodzimierza Spasowicza „O obecnym stanie ziemstwa w posiadających je guberniach cesarstwa ruskiego i o projektowanych w tem ziemstwie reformach,“ Adolfa Suligowskiego „O potrzebie peryodycznego organu prawniczego, poświęconego tyoryi prawa i studyom porównawczym,“ Henryka Konica „Kwestya gminy zbiorowej w Galicyi,“ Gabryela Kempnera „O dopuszczalności skargi względem zobowiązań z gry giełdowej pochodzących,“ Filipa Flamma „O spółkach rolnych.“

Szkoły rolnicze. Ministeryum dóbr państwa opracowało projekt otwarcia w czarnoziemnym pasie kilku niższych szkół rolniczych i średnich gospodarczo-rolniczych, przyczem istniejące już mają być zamienione na wyższe. Według dzienników ruskich, przemiana rozpocznie się od instytutu w Nowej Aleksandryi (Puławach), który otrzyma nazwę akademii gospodarczo-rolniczej i leśnej z kursem czteroletnim. Nowa akademia będzie miała prawo nadawania stopni naukowych z różnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego i, co szczególniejsza, przejdzie pod władzę ministeryum dóbr państwa, które do rozporządzenia tego nowego zakładu pozostawi folwark Ruda, a nadto na utrzymanie jego wyasygnuje o 25,000 rs. więcej, niż dotychczas.

Skrzynki automatyczne do listów, po odbyciu z niemi prób w Petersburgu i Odesie, departament poczt i telegrafów zamierza wprowadzić i do innych miast państwa.

Nowa szkoła. Uczenica Kazimierza Alchimowicza, panna Karolina Szmurłówna, otrzymała od władzy naukowej pozwolenie otwarcia kursów malarstwa dla kobiet. Będzie to więc druga szkoła tego rodzaju w Warszawie. Lekcye w niej rozpoczną się w połowie września.

Pierwsza oryentalistka. W paryskiej akademii oryentalnej złożyła niedawno z odznaczeniem egzamin na nauczycielkę perskiego i tureckiego języka, panna B. Palbotier.

Ministeryum spraw wewnętrznych zaleciło władzom administracyjnym gubernialnym, aby zajęły się doprowadzeniem do porządku i zaopatrzeniem w zapasy magazynów zbożowych, oraz zakładaniem nowych takich magazynów. Czynności odnośne winny być ukończone nie później, jak w sierpniu.

Straż pograniczna ma być zwiększoną o 2,000 szeregowców.

Bank międzynarodowy dla handlu cukrem został uchwalony na zgromadzeniu odbytem w Brukseli w d. 15 b. m. Oto są jego zasady: zakup i sprzedaż cukru u osób trzecich po najtańszych stawkach pośrednictwa, przypuszczenie klientów do udziału w zyskach czystych banku, wyłączenie przedsiębiorstw mających grę na celu, udzielanie fabrykantom zaliczeń na towar i dostarczanie uczestnikom danych, dotyczących handlu cukrem. Bank będzie posiadał 3 miliony kapitału.

Bibliografia. *Encyklopedya rolnicza* (wydawana przez Muzeum przemysłu i rolnictwa), zeszyt V i VI zawierają: bezrobocie, białko, bibliografia, bielenie płótna, bilans, binduga, bób, bóbr, bocian, bon, borówka, borsuk, botanika, brogi, brona.

— G. Bunge, *W sprawie alkoholu*, tłom. M. Flamm, Warszawa, str. 24.

Opracowane będą wkrótce przepisy, wzbraniające połowu ryb w okresie tarcia.

Hamerling ma być uczczony pomnikiem w Gracu przez tamtejsze stowarzyszenie literackie „Concordia.“

Sprawy szkolne. Z nadchodzącym nowym rokiem szkolnym opłata w kaliskiem gimnazyum żeńskiem podwyższoną zostanie we wszystkich klasach z 30 na 36 rs. rocznie.

— Panie Emilia i Natalia Tisserand uzyskały zezwolenie na otwarcie szkoły rzemiosł dla kobiet.

— Podania o przyjęcie do gimnazyum 2-go żeńskiego składać można od d. 1 sierpnia r. b.

— Towarzystwo farmaceutyczne w Odesie czyni starania o otwarcie tam kursów farmaceutycznych. Wykłady, które będą wzorowane na programacie uniwersytetu kijowskiego, rozpoczną się z dniem 1 sierpnia.

— Podania do gimnazyum III go męskiego w Warszawie przyjmowane będą od d. 27 b. m. Miejsca wolne są w klasie II, VI, VII i VIII, w klasie zaś przygotowawczej jest około 30 wakansów.

— Do programu wyższych szkół specyalnych ma być włączony kurs fotografii praktycznej.

— Kursy gimnastyki w zakładach naukowych staną się obowiązkowymi od b. r. szkolnego. Główną podstawą ich będą ćwiczenia w szeregu, a to, jak instrukcya głosi, nietylko dla rozwinięcia siły mięśniowej, lecz dla wdrożenia uczniów do słuchania komendy i służby w szeregu. Signum temporis...

Z prasy. W Drohobyczu z d. 1 sierpnia zacznie wychodzić dwutygodnik ekonomiczno-społeczny p. t. *Kuryer drohobycki.*

— *Praw. Wiest.* zawiadamia, iż koncesya, udzielona p. Stefanowi Szylerowi na wydawanie pisma codziennego p. t. *Gazeta informacyjna*, została ostatecznie cofniętą.

Ze sztuki. Na wystawie monachijskiej znajduje się nowy obraz Gabryela Maxa p. t. „Wianeczek“ (Kränzchen). Jest to grupa małp, siedzących na skrzyni drewnianej z najdziwaczniejszemi minami zapatrzonych w obraz, z którego tylko szeroką złotą ramę widać. Na tej ramie wpada w oko napis: „Przedmiot obrazu: Tristan i Isolda.“

Operetka Lecoqua p. t. „Ali-Baba,“ wystawiona w Warszawie, zyskała łaski i pochwały nawet tych, którzy grzmieć zwykli z zasady przeciw tej formie muzyczno-teatralnej.

Bank państwa ze względu na niewielkie dochody w oddziałach prowincyonalnych, zamierza poczynić pewne oszczędności: dwa oddziały mają być zwinięte, w oddziale zaś lubelskim będzie zmniejszony etat o sekretarza i jednego pomocnika buchaltera.

Wynalazek. Na wystawie paryskiej pokazują przyrząd do fotografowania automatycznego, pomysłu Enjalberta. Za wrzuceniem do otworu 50 centymów, chwyta podobiznę wrzucającego, a w pięć minut później dostarcza mu ją na blasze metalowej.

Libawsko-romeńska droga żelazna ma być upaństwowioną w d. 13 lutego roku przyszłego i zarząd jej zostanie przeniesiony z Mińska do Wilna.

Ministeryum finansów przegląda obecnie ustawę tytuniową, wódczaną itp. W połowie sierpnia odbędą się obrady, na które zostaną zaproszeni wytwórcy jako eksperci.

Zmarli. Ewanesku, poeta rumuński.

— Minajew, poeta ruski i znany tłomacz.

— Lubicz Iłasiewicz, we Lwowie, lat 42, dziennikarz i poeta.

— Reviczky Juliusz, poeta węgierski.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

X. X. Niestety, zaimek *takowy* istnieje w języku polskim. Niema on wszakże żadnej innej racyi bytu, oprócz zdobienia wypracowań ekonomo-kancelaryjnych i służenia autorom niedbałym lub nieudolnym za szmatkę do łatania dziur stylowych. W jednem z pism czytaliśmy kiedyś: „M. jeszcee w wigilię śmierci czytał wieczorem *Encyklopedyę*; gdy przyszła do niego żona, on złożył *takową*, a tę pocałował.“ Jest to klasyczny wzór *takowości*.

Panu St. L. w. Lubl. Nawał zajęć nie pozwolił nam przeczytać wcześniej. Z przekładu Pańskiego korzystać nie możemy, gdyż jest on bardzo chropowaty i wymagałby bardzo starannego szlifowania. Np. tak niepodobna:

...moją ręką
Jak dawniej, luba, władasz ty,
A z pod niej dźwięk fałszywy — męką
Tobie w mogile stał się by.

Rękopis zachowujemy do zwrotu.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 14 Іюля 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.